Nr. 267. Lwów — Czwartek dnia 22 Listopada. Rok 1900.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcznie 2 k. 20 h. w Niemczech ... 3 „ — „ w innych Państwach ... 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie ... 8 h. na prowincyi ... 10 h. Numery z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy nocy i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i prenumeratę miejscową przyjmuje wyłącznie: Agencya Dzienników ... we Lwowie, Plac ... l. 9. Cena ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: słowo tłustym pismem ... za każde słowo 4 h. Zwykłym pismem ... 3 h. Korespondencye prywatne ... 6 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce ... 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy ... 60 h.

Dziś: św. Cecylii P. Onysifora M.
Jutro: św. Klemensa P. Erasta Ap.
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.
Wschód słońca o g. 7 m. 25
Zachód „ „ 4 m. 9
Długość dnia godzin 8 minut 45
Ubyło dnia od wczoraj 2 min.

Koszta pacyfikacyi Chin.

Wniesione przez rząd niemiecki w parlamencie przedłożenie o kosztach wyprawy chińskiej wywołało w całych Niemczech niemiłe zdumienie, gdyż cyfra wydatków, poczynionych na tę ekspedycyę, wydaje się wszystkim bardzo wysoką i wzbudza obawy, że skoro początek awantury chińskiej taką masę pieniędzy kosztuje, to ileż jeszcze wydać przyjdzie zanim ona się skończy, a w zamian za te szalone wydatki, Niemcy prócz laurów militarnych wątpliwej wartości, właściwie żadnej kompensaty spodziewać się nie mogą, gdyż wszelkie zdobycze terytoryalne są z góry wykluczone. Wiadomo, że w przedłożeniu swem domaga się rząd berliński od parlamentu dodatkowego zatwierdzenia wydatków wojennych na sumę 152 milionów marek, czyli okrągło 180 milionów koron. Lwią część tej sumy pochłonęły koszta transportu wojsk do Chin. W ogóle we wszystkich wojnach ostatnich koszta transportu odgrywają pierwszorzędną rolę, a jednak w obecnej ekspedycyi niemieckiej do Chin są one najwyższe. Anglia wydała dotychczas na wojnę w Transwaalu około 70 milionów funtów szterlingów czyli 840 milionów złr. w której to sumie zawarta jest już opłata za przewóz wojsk z powrotem do domu, po skończonej wojnie. Stosunkowo zatem są koszta transportu wojsk angielskich znacznie tańsze, jeżeli się zważy, że Niemcy wysłały do Chin tylko 18 tysięcy ludzi, a Anglia do Transwaalu ćwierć miliona i to nie tylko z Anglii, ale aż z tak dalekich kolonii, jak Kanada, Australia i Indye. Wszelako transport wojsk niemieckich do Chin już z tego względu jest kosztowniejszy, że okręty wiozące te wojska, musiały przepłynąć kanał Sueski, za którego przebycie wszystkie bezwarunkowo okręty, a więc i wojenne muszą opłacać bardzo wysoką taryfę. Podczas ostatniej wojny hiszpańsko-amerykańskiej musiała np. niewielka flota hiszpańska, wysłana do Filipinów a następnie z drogi telegraficznie odwołana, by bronić wrzekomo zagrożonych wybrzeży hiszpańskich, zapłacić prawie milion koron za dwukrotne przepłynięcie kanału Sueskiego. Należytość kanałową pobiera się od okrętów, bez względu na to, w jakim celu przepływają kanał Suezki i bez względu na to, czy płyną z ładunkiem, czy bez niego, a wysokość tej należytości zależy od pojemności okrętu, tj. od tego, jaki ładunek może zmieścić się na danym okręcie, przyczem przyjęto za podstawę, że jedna tonna (1000 kilogramów) ładunku, zajmie przestrzeń 100 sześciennych stóp angielskich, czyli $2^{83}/_{100}$ metra sześciennego Oprócz kosztów transportu ogromną rolę odgrywają w ekspedycyi chińskiej także koszta wyżywienia wojska w obcym kraju o kilka tysięcy mil od ojczyzny, a i te koszta są ogromne. To też jakkolwiek suma 152 milionów marek, wydana na wysłanie 18.000 żołnierzy niemieckich do Chin, wydaje się sama przez się bardzo wielką, przesadzoną ona nie jest, przeciwnie ludzie, znający stosunki, przepowiadają, że nie wystarczy ona nawet w tym razie, gdyby nie zaszły żadne nieprzewidziane wypadki, wymagające wysyłki dalszych niemieckich oddziałów wojskowych i że z początkiem przyszłego roku będzie rząd niemiecki zmuszony domagać się nowych kredytów.

Ponieważ o podwyższeniu podatków nie może być nawet mowy, przeto zamierza rząd niemiecki pokryć koszta ekspedycyi chińskiej przez zaciągnięcie nowej pożyczki. Nie licząc wydatku na amortyzacyę, samo oprocentowanie takiej pożyczki wymagać będzie corocznie sumy przeszło 5 milionów marek. Aby nie zrażać ludności zapowiada rząd, że i ten ciężar oprocentowania nowej pożyczki nie wywoła żadnego podwyższenia podatków lub innych opłat, lecz znajdzie pokrycie w naturalnym przyroście dochodów państwowych. Czy to przewidywanie się sprawdzi, w to na razie nie wchodzimy, idzie nam tylko o podanie bodaj w przybliżeniu wysokości kosztów, jakie pociągnie za sobą pacyfikacya Chin.

A zatem Niemcy w najkorzystniejszym razie, gdyby ani o grosz nie przekroczyli przedłożonego parlamentowi rachunku, wydadzą 180 milionów koron. Znacznie większe wydatki będzie miała Rosya, bo chociaż koszta transportu jej wojsk, wysyłanych przeważnie drogą lądową z Syberyi, są nierównie mniejsze, ale za to zaangażowała ona w Chinach nie 18, ale przeszło 60 tysięcy żołnierzy, to też koszta wyżywienia wojsk rosyjskich są kilka razy większe. Anglia wysłała do Chin północnych 15 tysięcy wojska, a kilka tysięcy do południowych. Po kilka tysięcy wysłały także Francya, Stany Zjednoczone i Włochy — Japonia zaś ma w Chinach cały korpus na stopie wojennej. Każdy dzień utrzymania takiej masy wojska w Chinach, kosztuje kilka milionów, to też każde z mocarstw, zamięszanych w kwestyą chińską z wyjątkiem chyba Austro-Węgier i może Włoch, które to państwa tylko z małymi oddziałami są zaangażowane, nie będzie w możności pokryć kosztów swego udziału w pacyfikacyi Chin z bieżących dochodów, lecz wszystkie będą musiały odwołać się do kredytu publicznego. Mówią wprawdzie, że Chiny będą zniewolone zwrócić mocarstwom koszta pacyfikacyi i podają nawet cyfrę tego odszkodowania na 600 milionów taelów, czyli na 1080 milionów złotych, gdyż jeden tael ma 1 zł. 80 ct. Czy jednak mocarstwa otrzymają od Chin tę sumę, to dopiero kwestya dość jeszcze dalekiej przyszłości i do tego czasu nie można ozekać z zaspokojeniem wydatków wojennych, to też nawet Niemcy, które najwięcej liczą na to, że otrzymają od Chin zwrot wydatków wojennych, muszą przedtem zaciągnąć pożyczkę, a mogą co najwyżej wymówić sobie to, że umorzą ją po otrzymaniu od Chin wytargowanej od nich sumy. Ale dajmy na to, że zawarto już z Chinami układ i że zobowiązały się one zwrócić mocarstwom koszta pacyfikacyjne, to i w takim razie nie obejdzie się bez pożyczki. Nie ma bowiem takiego państwa na świecie, któreby było w stanie sumy 600 milionów taelów czyli 1080 milionów złr. zapłacić z bieżących dochodów, to też i Chiny będą musiały niebawem zaciągnąć ogromną pożyczkę.

Rezultatem pacyfikacyi Chin będzie zatem to, że w przyszłym roku naprzód kilka państw europejskich, a następnie Chiny zaapelują do targów pieniężnych o pożyczki. Targi londyński, paryski i berliński już przygotowują się do zlikwidowania wspólnemi siłami przyszłej pożyczki chińskiej. To zapotrzebowanie gotówki na pokrycie kosztów pacyfikacyi Chin musi w ciągu zimy oddziaływać niekorzystnie na cenę pieniędzy i dlatego potanienia gotówki nie ma się co spodziewać, chyba na wiosnę, gdy wszystkie spodziewane pożyczki będą już zrealizowane.

Sprawozdanie pos. Górskiego.

Piszą nam z Wiednia 18 lutego:

Mowa, którą poseł dr. Piotr Górski wygłosił przedwczoraj przed swymi wyborcami kuryi wielkich posiadłości okręgu krakowskiego, zawiera najtrafniejszą analizę przeszłości i najpożyteczniejsze wskazówki na przyszłość. Dopełnia ona świetnie mowy, którą ten poseł wypowiedział 6 października r. z. na zebraniu krakowskiego klubu konserwatywnego. P. Górski należy do zastępu najmłodszych naszych posłów, skoro do Rady państwa wstąpił dopiero w r. 1897. Fatalne stosunki parlamentarne, sprowadzone z kolei obstrukcyą niemieckiej lewicy a potem Czechów, nie pozwoliły ani p. Górskiemu, ani żadnemu z młodszych naszych posłów, rozwinąć w izbie poselskiej dodatniej czynności. Ale owe dwie mowy świadczą, że poseł Górski posiada wszelkie zdolności ku temu, aby zająć w parlamencie wybitne stanowisko. Przedewszystkiem zna on dokładnie najnowsze dzieje Austryi, nie z plotek i gawędek, lecz widocznie na podstawie poważnych studyów. Opiera zatem swe rozumowania na faktach, gdy często, nawet w sprawozdaniach poselskich dostrzegamy całkiem mylnych wyobrażeń i zapewnień, nawet o wypadkach niezbyt odległych, jak np. autorstwo obstrukcyi, wniosków oskarżenia ministrów itd. P. Górski zna dokładnie pragmatyczny rozwój stosunków, a zatem rozumowanie swe opiera na rzeczywistych przesłankach.

Co do przeszłości, poseł Górski bardzo słusznie zaznacza, że co innego był sojusz Koła polskiego z klubem staroczeskim (aż do r. 1891), a co innego jest kwestya sojuszu z klubem młodoczeskim. Tamten hołdował taktyce umiarkowania i oportunizmu — dodam: pomimo młodoczeskiego temperamentu ra Riegera — gdy klub młodoczeski grzęźnie w bezdennym radykalizmie. Dla czego? To p. Górski w mowie 6 października r. z. wyłożył obszernie, a tak trafnie, że korespondent wasz, który te stosunki studyował z bliska, nie mógłby dodać ani słowa. W każdym razie stąd, że Koło polskie od r. 1879 do 1891 mogło wytrwać w sojuszu z klubem staroczeskim, nie wynika wcale logicznie ani konieczność, ani możliwość trwałego sojuszu z klubem młodoczeskim! W mowie p. Górskiego nie znajdziesz ani jednego z tych ogólnikowych i szumnych frazesów, ani jednej z tych pozbawionych realnej treści formułek, które czasem z dzienników wsiąkają do słownika parlamentarnego, przynosząc wielką szkodę roztropnej polityce; nie należy on oczywiście do rzędu tych, którzy na podstawie jakiegoś sentymentalnego czy szczepowego mistycyzmu sojusz polsko-czeski, rozbity zresztą brutalnie przez obstrukcyę czeską, uważają jako noli me tangere i podnoszą go do godności zasady!

Naturalnie p. Górski, jak każdy roztropny i uczciwy patryota polski, gorąco obstaje przy solidarności Koła i broni jej poważnymi argumentami. Zasługuje to tem więcej na uznanie, ponieważ łatwo sobie wyobrazić, że nie raz znajdował się w Kole w mniejszości, że był właśnie jednym z tych, których miał na myśli Eksc. hr. Wojciech Dzieduszycki, zaznaczając na sejmiku w Stanisławowie, że stanowczo konserwatywni członkowie Koła.... ostrzegali przed wyciąganiem Czechom i innym kasztanów z ognia! Bądź co bądź, p. Górski na przyszłość zaleca Kołu samodzielną taktykę, która ma na oku przedewszystkiem „interes kraju i państwa“, nie zaś — dodajmy — mniej lub więcej obojętne nam roszczenia innych stronnictw. Potrzeba powrotu do tej starej, prawdziwie narodowej tradycyi Koła, której zawdzięczamy wszystkie nasze sukcesa w parlamencie wiedeńskim, widocznie dostępuje coraz większego uznania. Rozumie się samo przez się, że p. Górski, jako szczery konserwatysta, nie zarażony biurokratyczno-reakcyjnemi naleciałościami, ocalenie konstytucyonalizmu uważa jako jedno z głównych zadań naszych.

Zestawiając rozumne wywody byłego posła kuryi większych posiadłości okręgu krakowskiego, z awanturniczemi i dziwacznemi projektami à la hr. Coudenhove, który radzi uśmierzyć walkę narodowościową za pomocą.... wprowadzenia rosyjskiego języka państwowego, albo à la hr. Czernin, który zaleca przywrócenie absolutyzmu — możemy sobie z zadowoleniem wystawić świadectwo, że przecież nasza szlachta i nasi tak często poniewierani przez „ludową“ tromtadracyę „obszarnicy“ stoją w dojrzałości politycznej o wiele wyżej, niż... sąsiedzi.

Ruch wyborczy

w innych prowincyach Austryi.

Wiedeń, 20 listopada.

Walka pomiędzy p. di Paulim a ks. Schoepferem przybiera coraz to wstrętniejsze formy. Aczkolwiek książę biskup Brixenu oświadczył się już wyraźnie za wyborem b. ministra, nie ustaje walka przeciw tej kandydaturze. Świeżo na zebraniu wyborców w Waidbruck profesorowie seminaryum duchownego ks. ks. doktorowie Guggenberg i Schoepfer przemawiali namiętnie przeciwko baronowi di Paulemu. Pierwszy oskarżał go nawet, że swoim sojuszem z młodoczechami wywołał w kołach niemieckich hasło „Los von Rom“. Gdy proboszcz Schrott odczytał dekret Ojca św., nadający baronowi di Paulemu wielki krzyż orderu Grzegorza i pochwalający jego zasługi około Kościoła, odezwały się nieprzyzwoite głosy: „Dość tego“, poczem zebranie... uchwaliło oddać głosy kontrkandydatowi Schrafflowi! Tak to demokratyczne namiętności agitacyjne demoralizują nawet poczciwą ludność Tyrolu.

Niedawno temu tutejsza *Reichspost*, która najgorliwiej zwalcza kandydaturę barona di Paulego, oświadczyła, że pewnemu tutejszemu członkowi stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego przysłał on 600 koron z wezwaniem, aby przybył do Tyrolu i przemawiał przeciwko ks. Schoepferowi. Dnia 15 b. m. *Tiroler Stimmen* ogłosiły oświadczenie tutejszego prezesa chrześcijańskiego związku robotników „Austria“, Hansa Hrabego, że nie otrzymał nigdy od barona di Paulego ani listu, ani pieniędzy i nie układał się z nim w sprawie wyborów.

Tymczasem wczorajsza *Reichspost* zamieszcza złożone przez tegoż Hrabę w obecności radzców miejskich Axmanna i d-ra Fundera, tudzież innych posłów chrześcijańsko-socyalnych oświadczenie z 19 b. m., że dzierżawca tutejszej winiarni barona di Paulego Scholtan obiecał mu 2000 koron i wręczył w zadatku 600 koron, aby popierał kandydaturę barona di Paulego, i że on (Hraby) konferował z baronem di Paulim w Grand-Hotelu przez dwie godziny o wyborach w Tyrolu! W końcu p. Hraby ubolewa, że się wdał w rokowania z baronem di Paulim! Difficile est satiram non scribere! Wielka szkoda, że te specyalnie wiedeńskie intrygi i podstępy oddziaływają aż na daleki Tyrol. Znaczy to lekkomyślnie rozsadzać obóz katolicki.

„Du musst es drei mal sagen“ — brzmi bardzo często powtarzany w Niemczech frazes z „Fausta“. Według tej recepty postępowe stronnictwo niemieckie w Czechach występuje po raz t r z e c i z odezwą wyborczą. Pierwszą uchwaliło na zjeździe w Trutnowie 30 września. Drugą wydało tutaj 20 października po odbytej w Wiedniu konferencyi. Trzecia pojawiła się wczoraj jako owoc zjazdu, który się odbył w niedzielę w Pradze.

Oczywiście w tych wszystkich odezwach powtarzają się te same hasła: opór przeciwko wskrzeszeniu czeskiego prawa państwowego, żądanie zabezpieczenia niemieckiego języka państwowego i rozgraniczenia według narodowości, protest przeciwko czeskim zamiarom rozbicia parlamentu — przyczem „mistrzowstwo w stylu“ pokazuje się w dowcipnem zamilczeniu faktu, że niemiecka lewica przez 3 lata obstrukcyą rozbijała parlament! Nadto odezwa wczorajsza zwraca uwagę na ekonomiczne interesa i podnosi konieczność porozumienia się narodowości, aby... wspólnemi siłami złamać przewagę Węgier! *Fremdenblatt* w tej ugodowej dążności odezwy dopatruje się pomyślnego postępu. To optymizm! Owe zjednoczenie się Niemców i Czechów na podstawie liberalizmu, które zaleca praska korespondencya peszteńskiego *Lloydu*, pochodząca z pod „pióra czeskiego“, jak zaznacza redakcya, nie tak prędko przyjdzie do skutku w rzeczywistości, jak na cierpliwym papierze.

Uchwaliwszy rezolucyę, zjazd liberalny mianował kandydatów. Były poseł Russ definitywnie się usuwa. Na jego miejsce w Karlsbadzie komitet liberalny zaleca nieznanego dotąd w świecie politycznym adwokata dra Thylla z Liberca.

Wolfowi w Trutnowie komitet liberalny przeciwstawia członka Wydziału krajowego a-

---

1)

Z rozmów o Chopinie.

P. Ferdynand Hoesick, znany biograf, zamieszcza w petersburskim *Kraju* różne szczegóły z życia Chopina, udzielone mu w Warszawie przez trzy osoby, które znały Chopina osobiście. Są to p. Artur Szczuka, pani Józefa z Wodzińskich Kościelska i pani Emilia z Borzęckich Hofmanowa. Oto co p. Hoesickowi opowiadały o Chopinie owe osoby:

I.

— Domyślam się, co pan możesz mieć do mnie za interes — były pierwsze słowa pana radzcy Szczuki, gdy się p. Hoesick do niego zgłosił do Towarzystwa kredytowego ziemskiego. – Nie wiele jednak będę mógł panu powiedzieć o Chopinie, w czasach bowiem, gdy mieszkałem na pensyi u Mikołaja Chopina, Fryderyk bawił już zagranicą. Bywałem tylko świadkiem, jak przychodziły od niego listy z Paryża, ale i te przychodziły rzadko, albowiem były to czasy, gdy listy z Paryża bywały rozpieczętowywane i czytane na poczcie, tak, iż treść ich z konieczności musiała być bardzo błaha. Pensyonat Mikołaja Chopina znajdował się wtedy w pałacu Krasińskich na Krakowskiem-Przedmieściu, a był to jeden z najlepszych pensyonatów w Warszawie, a może ze wszystkich najdroższy. Za to żywiono nas doskonale. Już to wogóle na nic nie mogliśmy się uskarżać. Dbano o nas, jak o rodzonych synów. Przed rokiem 1830, gdy Mikołaj Chopin był profesorem Liceum warszawskiego, miewał u siebie na stancyi zawsze bardzo wielu pensyonarzy. W czasach, gdy ja mieszkałem u niego, było nas wszystkiego sześciu, i to samych starszych chłopców. Ponieważ Liceum już nie istniało, więc Mikołaj Chopin wykładał tylko w Szkole Aplikacyjnej. W domu rozmawiał z nami wyłącznie po francusku, gdyż w tym celu głównie mieszkało się u niego. Był to znakomity pedagog, a jako człowiek, nadzwyczaj dobry i miły. Niezależnie od tego trzymał nas krótko, a że był niezmiernie żywego usposobienia, więc należało się mieć na baczności... Żona jego, będąca prawdziwem uosobieniem dobroci, słodyczy i łagodności, ogromnie miła, cała oddana domowi, nadzwyczaj dbała o nas, prawdziwie, jak matka. Siostry Fryderyka, Barcińska i Jędrzejewiczowa, były już wtedy zamężne. Bywały jednak u rodziców bardzo często, a nawet p. Barcińska zaczęła mię uczyć muzyki, ale mi się to sprzykrzyło i zaniechałam tych lekcyj. Obie siostry Chopina były muzykalne. Co niedzielę przychodziły zawsze z mężami do nas na obiad. Naturalnie, że między innemi niemało mówiło się przy stole i o Fryderyku Chopinie. My, pensyonarze, choć obcy, należeliśmy do tych familijnych obiadów: zawsze do nich zasiadaliśmy razem z całą rodziną państwa Mikołajów, bo wogóle atmosfera, panująca w ich domu, była bardzo „gemüthlich“. Nigdy nam nie dawano uczuć, że jesteśmy tylko pensyonarzami; przeciwnie, zawsze byliśmy tak traktowani, jakbyśmy należeli do rodziny. To też wspomnienia, jakieśmy wynieśli z domu Chopinów, należą do najmilszych... Ja przynajmniej nie mogę powiedzieć inaczej.

II.

Pani Kościelska, matka Józefa Kościelskiego z Miłosławia, a rodzona siostra Maryi Wodzińskiej, tej samej, w której się ongi kochali Słowacki i Chopin, mieszka stale w Warszawie przy ulicy Nowogrodzkiej, a pamięta Chopina jeszcze z czasów jego pobytu w kraju... Później widywała go w domu swej matki w Dreznie w roku 1835, oraz w Maryenbadzie i znowu w Dreznie w roku następnym; to zaś, co o nim wie i powiada, rzuca całkiem nowe i odmienne światło na jeden z najważniejszych epizodów w życiu Chopina, a jednocześnie prostuje cały szereg „faktów“, opisywanych przez różnych biografów artysty, — faktów, które w rzeczywistości albo nie istniały wcale, albo były zupełnie odmienne. Nadto zna takie fakty z życia Chopina, których nie zapisali w swoich monografiach o nim ani Liszt, ani Karasowski, ani Szulc, ani Niecks, ani p. Strzelecki...

— Znajomość nasza z domem Chopinów — opowiadała pani Kościelska — datuje się od czasów, gdy bracia moi, w pierwszym roku naszego pobytu w Warszawie, mieszkali na stancyi u Mikołaja Chopina. Później, aż do ukończenia Liceum, mieszkali razem z nami u matki, która dla naszego wychowania na stałe przeniosła się do Warszawy. Przedtem mieszkaliśmy w naszym rodzinnym majątku pod Brześciem Kujawskim, w Sułkowie. Przez rok, gdy bracia moi mieszkali u rodziców Fryderyka, zadzierzgnęły się węzły naszej przyjaźni z domem Chopinów, — przyjaźni, która się nie rozluźniła i w wiele lat później.. Tymczasem widywaliśmy się co niedziela: raz myśmy bywali u nich w Kazimierowskim pałacu, to znów oni bywali u nas, w domu Pszennego, gdzie matka moja zajmowała obszerny lokal na pierwszem piętrze. Chopin, choć już wtedy cieszył się sławą najlepszego w mieście fortepianisty, dzielił wszystkie nasze zabawy, a nawet był ich duszą, czy to bawiliśmy się w lisa, czy w ciuciubabkę, czy w cenzurowanego. Nieraz też, gdy przyszła ochota potańczyć, służył nam za grajka. A pysznie się tańczyło po jego muzyce! Często też, bywało, czyniąc zadość prośbom starszych osób, grywał dla słuchu. Nieprawdą jednak jest, by udzielał lekcyi gry na fortepianie siostrze mej i był jej pierwszym nauczycielem muzyki. Pierwszą jej nauczycielką była moja matka... Później, gdyśmy się z Chopinem spotkali zagranicą, Marya nieraz zasięgała jego rad w kwestyach muzyki, ale tego, co się nazywa braniem lekcyj, nie było nigdy. Nie należy zapominać, że w czasach, gdy u nas Chopin bywał w Warszawie, Marya była jeszcze dzieckiem, Chopin zaś już grywał publicznie. Nieprawdą jest również, jakoby na wakacye jeździł z braćmi mymi do Służewa. Przed rokiem 1830 nikt z nas, prócz ojca, do Służewa nie jeździł. Gdy przyszło lato, jeździliśmy do Sułkowa; Chopin jeździł z nami, lecz do Żelazowej Woli, gdzie prócz rodziny Skarbków, miał jakichś krewnych po kądzieli... Pamiętam, że i myśmy tam z Chopinem pojechali. Przed mym wyjazdem z Warszawy dał Chopin pożegnalny koncert w teatrze Narodowym. Wiem, że cała nasza rodzina była na tym koncercie, — tego wszakże, czy i mnie zabrano, już sobie dziś nie przypominam. W czasach, gdy Chopin wybierał się za granicę, mieszkaliśmy za Żelazną Bramą, na pierwszem piętrze domu, przytykającego do ogrodu Saskiego. Tutaj pożegnał się z nami Chopin, tutaj też, wkrótce po jego wyjeździe, zaskoczyła nas rewolucya... Pamiętam, ojciec mój bawił właśnie w Warszawie, wieczorem zaś 29 listopada był z dwoma synami w teatrze... Gdy rozpoczęła się wojna, dwaj bracia moi, Antoś i Feliks poszli do wojska, a my przeniosłyśmy się na wieś do Sułkowa. Następnie wyjechałyśmy z matką do Berlina, gdzie nas doszła wiadomość o wzięciu Warszawy; potem przeniosłyśmy się na dłuższy czas do Drezna, aż w końcu zjechała się cała nasza rodzina w Genewie. Tam przemieszkaliśmy do sierpnia 1835 roku. Wracając stamtąd, zatrzymaliśmy się znowu na czas dłuższy w Dreznie. Tutaj też, ledwośmy się rozkwaterowali w świeżo najętem mieszkaniu na Rampische Strasse, niedaleko Frauenkirche, spotkaliśmy się przypadkiem z Chopinem. Wracał z Karlsbadu, gdzie zjechał się był ze swymi rodzicami. Zabawił wtedy z nami kilka dni, w dzień zaś mego odjazdu ofiarował siostrze mej na pożegnanie — i zagrał — świeżo skomponowanego przez siebie „Walca F-moll“, w którego trzeciej części dwanaście razy z rzędu powtarzająca się nuta „des“ oznacza bijącą na zegarze Frauenkirche godzinę 12tą, środkowy zaś motyw ciągle wzmagającem się „crescendo“ naśladuje turkot zajeżdżającego przed dom powozu...

Po upływie roku, który przemieszkaliśmy w Dreznie, zjechaliśmy się z Chopinem podczas lata w Maryenbadzie. Tym razem przyjechał już umyślnie dla spotkania się z nami. Spędziliśmy miesiąc razem, a Chopin był nieodłącznym naszym towarzyszem wszędzie. Dnie i wieczory spędzał z nami i w licznem gronie Polaków, którzy tego lata bawili u wód maryenbadzkich, a pomiędzy którymi było mnóstwo naszych znajomych. Naturalnie, iż go ciągle proszono, żeby grał, a on chętnie czynił zadość żądaniu; cieszył się wówczas już europejską sławą, jako kompozytor i wirtuoz — jako kompozytor bez współzawodników, a jako wirtuoz, mający współzawodników tylko w Liszcie i Thalbergu, których obu w arcyzabawny sposób naśladował przy fortepianie. *A propos* Liszta, który wtedy uchodził za „króla fortepianu“, to zdawał on sobie doskonale sprawę ze swej niższości w porównaniu z Chopinem. Sama go słyszałam, gdy mówiąc o Chopinie, jako kompozytorze, wyraził się: „Moi, je ne suis pas digne de lui dénouer les cordons de ses souliers.“ Niemniej jest dlań charakterystycznem, że gdy miał grać Chopina, odrazu zmieniał się całkiem, nawet na twarzy, która wtedy przybierała wyraz skupienia i rozmarzenia, niedostrzegalny przy wykonywaniu dzieł innych kompozytorów. Ale bo też ze wszystkich pianistów jeden Liszt tak grał Chopina, jak on sam. Liszt i Paderewski! Pamiętam, że gdym tego ostatniego słyszała w Berlinie, doznałam dziwnego rozrzewnienia: bo, przymknąwszy oczy, zupełnie miałam wrażenie, że jeszcze słyszę Chopina... Wtedy w Maryenbadzie grywał bardzo wiele, niezależnie od tego, że zawsze, gdy wstawał od fortepianu, był blady i tak dalece wyczerpany, że nic nie wiedział, co się działo wkoło niego, że na entuzyastyczne pochwały nie umiał odpowiedzieć jednego słowa, że nie słyszał prawie, co do niego mówiono, że potrzebował dłuższego czasu, by się uspokoić i wrócić do równowagi. Wogóle był bardzo mizerny i nerwowy, tak iż patrząc nań, miało się przeczucie, że to jeden z tych „ukochanych przez bogów“, który umrze młodo. Takim też mizernym i wątłym jest on na akwarelowym portrecie, wtedy w Maryenbadzie przez siostrę mą namalowanym, a z którego później w Dreznie siostra zrobiła litografię, sama go rysując na kamieniu litograficznym. Na portrecie tym jest Chopin nadzwyczaj podobnym, zupełnie taki, jak w r. 1836 wyglądał w Maryenbadzie. Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że ta melancholijna postać młodego artysty, jakim go widzimy na tym portrecie, zawsze owiana była mgłą melancholii. Całkiem przeciwnie: Chopin bowiem, o ile rzewny w swych kompozycyach, o tyle w życiu najczęściej był ogromnie wesoły, niewyczerpany w figlach, dowcipny, pełen humoru; pamiętam, jak pewnego razu, będąc u nas, pisał list do swego przyjaciela w Paryżu, doktora Jana Matuszyńskiego, z którym razem mieszkał na Rue de la Chausée-d'Antin, list, dotyczący przeprowadzki do nowego mieszkania, w którym Chopin dawał przyjacielowi swemu instrukcye w kwestyi ustawienia mebli. Cały list był napisany wierszem, a pisał go Chopin w ten sposób, że każdy wiersz, w miarę napisania go, odczytywał nam głośno, my zaś siedząc dokoła, pokładaliśmy się od śmiechu, albowiem każdy niemal wyraz tego listu był dowcipem. Swoją drogą, gdzie potrzeba było, tam mu nie brakło nigdy ani powagi, ani nawet odwagi. Opowiadał nam naprzykład, że w ciągu upłynionego roku zgłosił się do niego ambasador jednego z państw, ofiarując mu, w imieniu swego monarchy, zaszczytny tytuł: „premier pianiste de Sa Majesté l'Empereur“...

On jednak tytułu tego nie przyjął, motywując odmowę swą w następujący sposób: „Jakkolwiek nie brałem udziału w rewolucyi roku 1830, gdyż byłem jeszcze na to za młody, to jednak sercem byłem z nimi... Dlatego uważam się za emigranta, który to tytuł nie pozwala mi przyjąć innego...“

Oczywiście, iż mu już powtórnie nie zaproponowano nic podobnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dwokatą dra Weruńskiego, który należy do rzędu starszych posłów niemieckich, ale nie zasiadał w Radzie państwa. Ustępuje także jeden z najstarszych posłów dr. Roser, wybierany od 30 lat z gmin włościańskich Trutnowa i znany z powtarzanych corocznie wniosków, dotyczących zniesienia małej loteryi.

Fantastyczne marzenia Rosyanina.

W dzienniku rosyjskim *Russkoje Słowo*, znany publicysta i dziennikarz petersburski, p. Arbatskij ułożył fantastyczny obrazek pod tytułem:

„Mapa Rosyi na początku XX wieku“,

w którym przepowiada wypadki, mające nastąpić między 1900 a 1904 rokiem.

Artykuł ten, który oczywiście jako fantastyczne marzenie, nie ma żadnej realnej wartości, ale, który cennym jest z tego względu, że odsłania nam ideały patryotów rosyjskich — powtarzamy tu w dosłownym przekładzie, zwłaszcza, że niezawodnie wywoła on wielką wrzawę w prasie berlińskiej, a zapewne i we wiedeńskiej.

Los zrządził, że przez długie lata — pisze p. Arbatskij w 299 numerze *Russkiego Słowa* — błąkałem się po dalekich morzach, nic nie wiedząc o tem, co się w tym czasie działo w Europie. Wróciwszy wreszcie w kilka lat po wojnie europejsko-chińskiej do Rosyi, która jest moją ojczyzną, wydarzyło mi się, że u jednego z przyjaciół w Tulsku spostrzegłem wiszącą na ścianie ogromną mapę, szeroką na 8 arszynów, a długości dwunastu arszynów. Przyglądam się, to Rosya. Tak jest, to nasza święta Rosya, której oczy moje tyle lat nie widziały! Lecz radość moja zamieniła się w zdziwienie, gdym, przypatrzywszy się bliżej, zauważył, że zachodnia granica imperium bynajmniej nie była podobną do tej, którą pamiętałem z czasów szkolnych, oraz, że na karcie nie było podziału na gubernie, których niegdyś, będąc chłopcem, uczyłem się na pamięć.

Na olbrzymiej mapie zachodnia granica imperium zaczynała się u „Danziga“, oznaczonego tłustym drukiem „Gdańsk“, obejmowała, biegnąc wzdłuż wschodniej granicy Prus, cofniętej aż do marchii Brandenburskiej, Poznań z całym krajem naokół, okrążała „Budziszyn“, także tłustemi literami odbity, w którym poznałem nasze słowiańskie, poetyczne Łużyce, teraz również do świętej Rusi przyłączone, — w dalszym ciągu wchodziła w byłą Austryę, okalając całą Czechię z Morawami, a ominąwszy Salzburg i Bawaryę, spuszczała się ku morzu Sinemu (Adryatyckiemu), nie oszczędzając Tryestu.

W tem nowem państwie rosyjskiem widniały, nakreślone czerwonemi granicami, następujące dzielnice: po pierwsze Królestwo Polskie z stolicą Warszawą, odbitą tłusto, i dwoma głównemi miastami Poznaniem i Krakowem, które przedstawiały się jako punkta pomniejsze; — po drugie Czerwona Ruś z Lwowem; — po trzecie Łużyce z Budziszynem; — po czwarte Czechia z Wiedniem jako stolicą i głównemi miastami Pragą i Ołomuńcem; — po piąte drobne, ze wszech stron obcięte Węgry z Pesztem; — po szóste Serbo-Chorwacya z stolicami Białogrodem i Zagrzebiem; po siódme Rumunia z Bukaresztem; — po ósme Bułgarya z Sredcem (Sofią) i Adryanopolem; — i po dziewiąte Grecya obejmująca dawniejsze królestwo i cały archipelag z stolicami Ateny i Tesalonika.

Bardzo tłustym drukiem odbity był Carogród, czwarta stolica imperium, na oko nie przyłączony do żadnej z powyższych dzielnic.

Lecz najbardziej narzucał się oczom Kijów, pierwotna stolica Rusi, przeniesiona z północy. Tu przypomniały mi się wiersze Tiutczewa, który śpiewał:

O słowiańszczyzno! zasłyniesz siłą,
Jakiej na świecie jeszcze nie było,
Gdy Ruś swą Polsce poda dłoń
I obie zgodnie chwycą broń.
Lecz przednie te siostry obie
Podadzą dłoń zgodną sobie
W Kijowie i Carogodzie,
A nie, gdzie w północnym chłodzie
Car ma dzisiaj swą stolicę —
Ani tam, gdzie swą prawicę
Pławił we krwi Iwan Srogi,
Ponury jak cień złowrogi.

Spełnił się sen poety! Rosya połączyła sławiańskie plemiona; „sławiańskie szczepy, wyrosłe ze wspólnego pnia, zlały się w ruskie morze“, a to morze rozlało się na połowie Europy i po Azyi, od oceanu Północnego do oceanu Indyjskiego i od oceanu Spokojnego aż do Archipelagu i wód morza Sinego!

Od granicy zachodniej, od tej nowej sławiańskiej Rosyi wzrok mój zwrócił się na nasze stare środowisko i na Wschód. Ale jak się tu zmienił podział administracyjny!

Gubernii, jak już zauważyłem, nie było tu ani śladu. Ich miejsce zajęły nowe dzielnice, oznaczone widnemi granicami. Na północy Petersburg przedstawiał się jako naczelne miasto ogromnych obszarów, w których skład wchodziły były gubernie: petersburska, nowogrodzka, pskowska, ołoniecka, po części wołogodzka i archangielska. Wschodnia połowa tych gubernii łączyła się z byłemi guberniami: wiatską, permską i kazańską w drugą dzielnicę z miastem Kazaniem na czele. Trzecią dzielnicę tworzyły byłe gubernie: smoleńska, twerska, jarosławska, kostromska, kałużska, moskiewska i niżnogrodzka z Moskwą jako głównem centrum. Kijów służył za punkt zborny czwartej dzielnicy, do której należały dawniejsze gubernie: kijowska, wołyńska, podolska, półtawska, czernichowska i oddzielona od Polski chełmska.

Gubernie środkowe, słynące z czarnoziemu: orłowska, tulska, kurska, charkowska, woroniecka, tambowska, penzeńska i symbirska z częścią rjazańskiej i ziem Dońskich Kozaków, grupowały się naokół Woroneża. Dalej szły: Zawołże z Orenburgiem, Noworosya z Odessą, północny Kaukaz z Rostowem nad Donem, ziemie Zakaukaskie z Tyflisem. Sybir dzielił się na cztery władztwa z miastami: Omskiem, Tomskiem, Irkutskiem i Władywostokiem. Obok nich leżały osobne dzielnice: Mandżurya, Buchara, Afganistan i inne, skąd biegła kolej żelazna do Czachbary tuż nad oceanem Indyjskim.

Mapę, przedstawiającą powyższe zmiany i przeobrażenia, znalazłem, jak już zauważyłem u jednego z przyjaciół w Tulsku. Niebawem zeszło się u mego gospodarza liczne grono przedniejszych obywateli z miasta, między którymi byli także ludzie inteligentni i reprezentanci nauki, a gdy nie mogąc wyjść z podziwu, wciąż oczy na cudowną mapę zwracałem, mówiąc otwarcie, że radbym wiedzieć, jakie okoliczności na tak radykalne przewroty się złożyły, wygodził mi jeden z gości i zaspokoił moją ciekawość następującemi słowy:

Gdyś pan używał rozrywek, pływając po dalekich morzach, wybuchły w Chinach 1900 r. groźne zaburzenia. Natychmiast cała Europa rzuciła się do „gaszenia“ pożaru, a w rzeczy samej, aby pod pozorem zaprowadzenia porządku w Chinach, dzierżawy syna słońca wziąć jak swoje. Na czele szli Niemcy, którzy dokazali tego, że nad zjednoczonemi siłami mocarstw objął komendę ich feldmarszałek. Nim jednak feldmarszałek do Chin przybył, Rosyanie wkroczyli do Pekinu i główną część zadania spełnili, gdyż ze zdobyciem stolicy niepokoje zaczęły gasnąć same z siebie. Wobec tego Rosya wycofała swą armię z Pekinu i ograniczyła się jedynie na obronie swych kolei mandżurskich i mongolskich. Usposobienie rządu rosyjskiego odnośnie do Chin było pojednawcze. Lecz Niemcy i Anglicy, mając zamiary skryte, rozgospodarowali się w Chinach jakby u siebie. Skutkiem tego powstanie rosło; cesarz, uciekłszy z Pekinu, nie chciał do stolicy powrócić; niebawem bunt ogarnął szerokim płomieniem południe Chin. Z początku Niemcy w potyczkach nie mieli szczęścia, aż z czasem, powoli, weszło ich do Chin dwa kroć sto tysięcy z tysiącem armat. Ale równocześnie rosła także sympatya dla biednych Chińczyków w narodzie rosyjskim. Głównie oburzyły Rosyan nowiny o okrucieństwach, jakich Niemcy nad ludem chińskim się dopuszczali. Gazety podawały w tym względzie bez ustanku przerażające szczegóły. Po powrocie z Chin do Petersburga księcia Uchtomskiego, przybył do cara pełnomocnik bogdychana prosić o pomoc. Car postanowił być neutralnym, lecz na usilne prośby posła zezwolił, aby oficerowie rosyjscy przechodzili do obozów chińskich na ochotnika i objęli nad Chińczykami dowództwo potajemne.

Odtąd Niemcom nie wiodło się. Żołnierz chiński, z natury bitny, potrzebuje tylko dobrego wodza — i znalazł też dzielnych kierowników w oficerach rosyjskich. W Niemczech na wiadomość o tem zakipiało, ale i w Rosyi wrzenie przeciw Niemcom przybrało ogromne rozmiary.

W trakcie tego wojska niemieckie zdobyły ważny punkt strategiczny Dzian-dzi-fu. Załoga broniła się po bohatersku, ale Niemcy mieli przemoc i zapanowali nad miastem, poczem w rozjątrzeniu rozstrzelali sześciu chińskich oficerów i głównego komendanta Ptycyna, rodem Rosyanina.

Skutkiem tego gwałtu Rosya zerwała z Berlinem stosunki dyplomatyczne i rozpoczęła z Niemcami wojnę, nie wypowiadając jej formalnie. Stało się to już w czwartym roku zaburzeń chińskich i Germania była już znacznie osłabiona, ale bądź co bądź, reprezentowała jeszcze wielką siłę, a ponieważ trójprzymierze jeszcze istniało, przeto pospieszyła Niemcom na pomoc Austrya.

Armia pruska uprzedziła wprawdzie rosyjską w mobilizacyi i wkroczyła do Królestwa polskiego, ale zanim dotarła do pierwszej rosyjskiej linii obronnej, zaszedł nagle wypadek ogromnej doniosłości, który rozstrzygnął wojnę na korzyść Rosyi“.

Tutaj puszcza autor jeszcze wolniej wodze fantazyi i wymyśla ów decydujący wypadek w ten sposób, iż armia austro-węgierska w sile ośmiuset tysięcy ludzi, wysłana przeciw Rosyi, nie chce walczyć z Rosyanami, odmawia więc posłuszeństwa wodzom i składa broń pod Samborem i Stanisławowem, a ta katastrofa zadaje ostateczny cios i Austryi i Niemcom. Oczywiście każdy pojmie, że taka kombinacya jest całkiem dziecinną i że wypadek tego rodzaju jest wręcz technicznie niemożliwy, dla autora jednak była tego rodzaju fabuła najłatwiejszą, więc opowiada on w dalszym ciągu, że „przyczyną katastrofy było to, że do walki z Rosyą szli ochoczo sami tylko Madziarzy; — natomiast Polacy, rozżaleni strasznie na Niemców za prześladowanie żywiołu polskiego pod berłem pruskiem i ujęci mądrą polityką łagodnego cara Mikołaja II, który Kongresówce przywrócił swobody narodowe w myśl uchwał kongresu wiedeńskiego, poszli za przykładem Czechów i innych Słowian austryackich i razem z nimi wypowiedzieli naczelnemu wodzowi posłuszeństwo.

„Madziarzy uszli za Karpaty, oficerów austryackich wysłano w głąb Rosyi jako jeńców, a wojsko Rosyanie zreorganizowali i połączyli je z armią swoją południową, której połowa ruszyła nad Wisłę na Prusaków.

Tu krzyknąłem: „A Francya? nasza sojusznica? czy spała albo co?“

Informator, nieco znużony, odpoczywał, lecz za to wszyscy inni goście odezwali się chórem:

Francya... opóźniła się. Prezydent wysłał najprzód kilka korpusów do Sabaudyi przeciw Włochom, którzy gotowi byli najechać republikę od południa-wschodu. Nad Ren ruszyli Francuzi w wielkiej sile dopiero za kilka tygodni, ale tymczasem armia rosyjska stanęła już w Berlinie, co widząc Francuzi, zwrócili się ku południowi, aby wydrzeć Niemcom Alzacyę i Lotaryngię. Powalone o ziemię Niemcy wyczekiwały jeszcze ratunku od Anglii, lecz premier angielski nie ruszył ani palcem, wolał raczej pchnąć flotę angielską na morza, aby zajęła kolonie niemieckie, co się też stało. Flota spełniła rozkaz sumiennie i obrała Niemcy z wszystkich posiadłości zamorskich, tak iż wszelkie zachody kolonialne Bismarka i Bülowa obróciły się w niwecz“.

Tu autor znowu wkracza na pole niedozwolonej fantazyi i szeroko się rozwodzi nad zdradami, której względem Austryi dopuścili się Polacy i Czesi. Zostawiamy *Narodnym Listom* obowiązek wytłómaczenia autorowi, że naród czeski jest więcej wart, niż sądzić o nim można z artykułów tego pisma, a zaprotestujemy tylko w imieniu Polaków, albowiem naród nasz nigdy nikogo nie zdradził i zawsze wiernie dochowywał zawartych umów. Mniemanie rosyjskich dzienników, że ucisk podatkowy w Austryi skłoni Polaków galicyjskich do rzucenia się w objęcia Rosyi i twierdzenie ich, że Rosya znalazła od kilku lat znakomitego sprzymierzeńca w Galicyi w podatku osobisto-dochodowym, jako też, że temu podatkowi osobisto-dochodowemu należy przypisać to, iż prasa polska w Galicyi zaczęła teraz łagodniej wyrażać się o Rosyi, jest z gruntu mylnem. Polska prasa poważna zawsze i dawniej wyrażała się równie jak dzisiaj spokojnie i przyzwoicie o Rosyi, prasa zaś tromtadratyczna, jeżeli złagodziła dzisiaj swój ton, to nie dlatego, że zaprowadzono podatek osobisto-dochodowy i że władze fiskalne austryackie starają się wszelkimi sposobami wywołać niechęć u publiczności do tego podatku, ale dlatego, że na tron rosyjski wstąpił monarcha, którego wszystkie występy świadczą, iż posiada umysł szlachetny i że pragnie szczęścia wszystkich swoich poddanych. Niech Rosya pójdzie w kierunku, który jej autor wskazuje, niech przyzna Polakom wszystkie prawa i swobody, to w najradykalniejszych pismach galicyjskich nie będzie żadnych o niej złośliwych uwag bez względu na to, czy będzie w Austryi istniał podatek osobisto-dochodowy, czy też go nie będzie.

Po tych uwagach, które uważaliśmy za konieczne tu wstawić, dajemy znowu głos autorowi. Pisze on dalej tak:

„Wojna dobiegła kresu, poczem stanął pokój, którego rezultatem jest porządek, jaki pan widzisz na tej tu ogromnej mapie, co wisi na ścianie. Niemcy z pokorą prosiły o pokój i wparte zostały w pierwotne swe granice, oddając Rosyi to, co jej się należy w moc praw przyrodzonych: słowiańszczyznę zachodnią nad dolną Wisłą, nad Wartą i górną Odrą, jakoteż całą słowiańszczyznę południową i wreszcie cały półwysep Bałkański z Grecyą, albowiem półwysep ten, bądź ze względów etnograficznych, bądź ze względów religijnych znajduje się w blizkiem z Rosyą pokrewieństwie“.

Ruch wyborczy.

Centralny komitet przedwyborczy uchwalił zatwierdzić następujące przedstawione sobie przez komitety powiatowe kandydatury:

P. Wincentego Jabłońskiego, naczelnika sądu w Krośnie na V kuryę powszechną Sanok-Krosno-Jasło-Brzozów-Dobromil-Lisko-Stare miasto;

p. dr. Tadeusza Niementowskiego na V kuryę powszechną Tarnopol-Zbaraż-Złoczów-Przemyślany-Brzeżany;

p. dr. Jana Walewskiego na V kuryę powszechną Stanisławów-Rohatyn-Podhajce-Buczacz-Tłumacz;

p. Stefana Moysę-Rossochackiego na V kuryę powszechną Kołomyja-Nadwórna-Bohorodczany-Kossów-Śniatyn-Horodenka.

O władzy nad sobą.

Pod takim tytułem miał w Warszawie odczyt dr. Julian Ochorowicz. Dzienniki warszawskie notują z tego odczytu jeden ustęp bardzo zajmujący, który i my chętnie powtarzamy. Oto co one piszą, a raczej co mówił p. Ochorowicz:

Natężeniem woli możemy opanować myśl naszą, mowę, namiętności, nawet chorobę. Jakże więc potężną dźwignią jest silna wola! A czy też cenimy ją należycie? czy się o wyrobienie jej w sobie staramy?

Historya przekazała nam przykłady hartownej woli u Rzymian, którzy pod tym względem wzorem dla innych się stali: ze spokojem znosił Rzymianin zmiany i pociski losu, ze spokojem witał przybliżającą się śmierć, a w ostatniej chwili zakrywał krajem togi twarz swoją, aby nikt na niej skurczu cierpienia nie dojrzał. Siłą woli odznaczały się też w dawnych bardzo czasach Polki, które z pogodną twarzą wyprawiały na pole bitwy mężów swych i synów, a nawet mężnem sercem przyjmowały wiadomość o ich śmierci.

Cierpiały one niemniej od dzisiejszych kobiet, ale boleść nie przeszkadzała im oddawać się pracy i spełniać obowiązków, jakie na nich ciążyły — tylko przy modlitwie dawały folgę łzom, wobec ludzi ukrywając starannie swój smutek. Tego spokoju nikt nie brał za obojętność lub nieczułość — każdy wiedział, że on jest zdobyty ciężką walką i tem więcej go szanował.

Dziś inne są pod tym względem pojęcia. Wiele osób nie tyle nie może, co nie usiłuje panować nad sobą, bo wrażliwość jest uważana za rodzaj zalety, którą też nieraz potęgujemy w sobie, zamiast starać się ją zwalczyć. Jeżeli z dwóch osób dotkniętych wspólną stratą, jedna siłą woli opanuje swą boleść i weźmie się do pracy, podczas gdy druga podda się cierpieniu, nie usiłując go pokonać: wszyscy z pewnością powiedzą o pierwszej, że jest mało uczuciowa, całą sympatyę zwracając ku drugiej, choćby ona swoją egoistyczną boleścią innym jeszcze strapienia przymnażała. To samo można powiedzieć o wszelkiem cierpieniu fizycznem — osoba po dziecinnemu kapryśna w chorobie lub na ból niewytrzymała, otoczona jest zwykle daleko większą troskliwością, niż cierpliwa i wytrwała, która, nawet będąc chorą, myśli, aby sobą drugich nie utrudzać. Wskutek dziwnie spaczonego w tym względzie pojęcia poddawanie się w zupełności i bez oporu cierpieniu fizycznemu czy moralnemu bywa ogólnie uważane za oznakę subtelności uczuć, podczas gdy znoszenie go odważne, przypisywane jest nie panowaniu nad sobą, ale słabej uczuciowości i grubym nerwom danej osoby.

Co gorsza, tak niesłuszny sąd zastosowuje się i do dzieci. „Moja młodsza córeczka jest tak uczuciowa“, mówi nieraz matka, „że płacze za lada przyczyną, dostaje gorączki przy lada wzruszeniu lub przestrachu — starsza za to jest bardzo obojętna i niewrażliwa“. „O, matko! możnaby zawołać, — jakże bierzesz rzeczy powierzchownie. Ta nadmierna czułość twego dziecka jest albo chorobą, którą leczyć potrzeba, albo rozpieszczeniem, jakiemu pobłażać nie należy. Błądzisz też, uważając w starszej córce za obojętność to, co jest może godnem podziwienia panowaniem nad sobą — takim powierzchownym sądem możesz dziecku przyczynić wiele boleści i na zawsze stracić jego zaufanie“.

Nie każdy bohaterem — zwykłemu zaś śmiertelnikowi trzeba uznania choć paru osób — jeśli więc kto widzi, że zamiast sprawiedliwie oceniać jego postępowanie, fałszywie i niekorzystnie je sądzą, myśli z goryczą, że dla takiego rezultatu nie warto naprężać swej woli. Powinniśmy na tym punkcie zupełnie zmienić zarówno zapatrywanie, jak i postępowanie nasze. Zbytniej wrażliwości dzieci, a nawet osób dorosłych powinniśmy przeciwstawiać łagodną powagę i stanowczość, wymagając od nich, aby hamowały swą niecierpliwość i panowały nad zbytnią wrażliwością. Dziecka zaś panującego nad sobą nigdy nie urażajmy i nie zasmucajmy, posądzając je o chłód i obojętność — przeciwnie uściskiem lub paru serdecznemi słowy okażmy mu, że widzimy i rozumiemy jego panowanie nad sobą, że szanujemy i kochamy je za to. Czułostkowość i wrażliwość dzieci co prawda rozwijają często same matki, okazując żywe zaniepokojenie za lada przewróceniem się dziecka lub nieznaczącym chorobliwym objawem — wmawiając nieraz w nie przez źle zrozumianą troskliwość że mu coś dolega, lub niepotrzebnem zapytaniem przypominając o minionem już cierpieniu.

Wobec tego nic dziwnego, że z jednej strony widzimy wiele rodzin, w których bez rzeczywistych powodów wszyscy się na coś skarżą, lub z czegoś są niezadowoleni, co wytwarza dziwnie przykrą, a na dzieci szczególnie ujemnie oddziaływującą atmosferę — z drugiej strony wola niećwiczona i nie natężana zanika, wskutek czego zarówno fizycznie jak moralnie stajemy się na wszelkie wpływy nieodporni. To też, idąc za radą mówcy, kształćmy przedewszystkiem charakter, a jeżeli siła woli nie uchroni nas od choroby lub nieszczęść, gdy te są niezależne od nas, pomoże nam przynajmniej znosić je z cierpliwością i szlachetną odwagą, jaka nam i tym, którzy z nami żyją, brzemię istnienia lżejszem czynić będzie.

Z izby sądowej.

Lwów 21 listopada.

(Zabójstwo).

Dziś przed sądem przysięgłych stanął Ludwik Jankowski, 21-letni zarobnik z Czyszek. Dnia 8 września br. zabawiał on się na weselu w chacie Łecyków i wypił dużo alkoholu. Będąc awanturniczego usposobienia, po wyjściu z chaty szukał zaczepki z towarzyszami pijatyki, lżył ich, ci zaś nie pozostawali mu dłużnymi obelg, a jeden z nich, Jan Łecyk uderzył go w twarz. Wtedy Jankowski wyjął scyzoryk i ostrzem zadał Łecykowi kilka ran, z tych jedną dość ciężką w brzuch. Nadbiegł na to Ludwik Paryna i zaczął Jankowskiego bić po głowie obręczą; wówczas Jankowski zadał mu śmiertelne pchnięcie scyzorykiem w piersi i uciekł. Schwytano go dopiero w dwie godziny po zajściu.

Przy rozprawie tłómaczy się Jankowski, że był pijany i działał w obronie własnego życia. Atoli z zeznań świadków wypływa, że Jankowskiego nikt podczas bójki nie przytrzymywał, mógł on więc uciec swobodnie przed przemagającą liczbą przeciwników, zamiast szukać krwawej zemsty.

Rozprawa trwa dalej.

KRONIKA.

Lwów 21 listopada.

Ks. arcybiskup Bilczewski zagościł wczoraj do klasztoru Bernardynów, gdzie mu się przedstawiło lwowskie duchowieństwo świeckie i zakonne. Nowego zwierzchnika powitał przemową ks. Podolski, proboszcz parafii św. Marcina. Zaznaczył on wielką radość, z jaką cała archidyecezya przyjęła nominacyę ks. Bilczewskiego na arcybiskupa, zapewnił, że całe duchowieństwo z synowską uległością i z całą skwapliwością będzie wypełniało polecenia i rozkazy swego nowego arcybiskupa, pomnąc, że tylko jednością silne duchowieństwo zdoła wykonywać swe wielkie obowiązki wobec Boga i narodu; wreszcie życzył ks. arcybiskupowi zdrowia, a prosił o opiekę i miłość dla całego duchowieństwa. Ks. arcybiskup w serdecznych wyrazach podziękował za ten hołd i życzenia. „Gdyby matka moja żyła — rzekł — to jej życzenia byłyby mi najmilsze, dziś są niemi wasze, bo wy będziecie mi najbliższą rodziną, bo odtąd splatają się losy naszego życia. W łączności, we wspólnych modłach nasza siła, a jeśli się o Boga opieramy, to nikt nas nie zmoże. Przyjmijcie zapewnienie, że zawsze liczyć możecie na mnie, tak, jak ja zawsze liczyć będę na was. Bóg zapłać!“

Następnie zjawiła się w refektarzu klasztoru deputacya kleryków. Jeden z nich zaznaczył, że klerycy są przejęci smutkiem z powodu, że już nie będą mogli słuchać wykładów ks. Bilczewskiego, — lecz i radością, iż jako klerycy, a następnie jako kapłani będą mogli pracować pod jego kierownictwem; poczem mówca zapewnił, iż klerycy modlić się będą do Boga, by nowemu arcypasterzowi pozwolił przez długie lata pracować na chwałę Kościoła i Ojczyzny. Ks. arcybiskup w gorących słowach podziękował za to powitanie i mówił następnie w porywający serca słuchaczy sposób o szczytnych obowiązkach kapłana.

Z kolei przybyła deputacya Tercyarzy zakonu św. Franciszka, złożona z pp. Balcera, prof. Thulliego, Cholewińskiego i Kramera. Imieniem jej w gorących słowach przemówił p. Balcer i prosił ks. arcybiskupa o poparcie tercyarstwa. Ks. arcybiskup Bilczewski podziękował deputacyi w gorących słowach za powitanie, a następnie podniósł doniosłe znaczenie tercyarstwa, które spieszy z pomocą duchowieństwu, obarczonemu tak wielką pracą, iż jej z trudnością tylko podołać może. Tercyarze, jako ludzie świeccy, docierają nieraz tam, gdzie kapłan dotrzeć nie może i niosą do chat ubogich pociechę, ocierają niejedną łzę sieroty. Szlachetne te cele popierać będzie z całych sił.

W końcu przedstawiła się ks. arcybiskupowi deputacya Tow. wzaj. ubezpieczeń „Unio catholica“ z pp. dyrektorem Thumenem i adwokatem drem Starczewskim na czele. Ks. arcybiskup życzył Towarzystwu temu jak najpomyślniejszego rozwoju w Galicyi.

Dr. Dylewski, wiceprezydent wyższego sądu krajowego, wyjechał na wizytacyę sądu obwodowego w Stanisławowie.

Klub pocztowy urządza w dniu 24 b. m. (sobota) w salach Strzelnicy miejskiej przy współudziale Towarzystwa „Teatr miłośników sceny“ przedstawienie amatorskie (trzyaktowa komedya „Argonauci“ G. Ceglińskiego), po przedstawieniu zaś, jako w wigilię św. Katarzyny, wieczorek z tańcami. Strój dla pań wizytowy, dla panów frakowy. Lista dla członków, ich rodzin i wprowadzonych gości otwarta.

Nowy kościół katolicki oddano ubiegłego tygodnia na Steiglitz, przedmieściu Berlina, do użytku wiernych. W dzielnicy tej mieszka kilkanaście tysięcy Polaków, głównie robotników.

Konkurs. Sąd krajowy wyższy we Lwowie rozpisał konkurs na cztery posady oficyałów kancelaryjnych w X randze we Lwowie, Przemyślu, Stryju i Stanisławowie, jakoteż na trzy posady kancelistów w XI randze we Lwowie, Rawie i Brzozowie.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. We czwartek 22 listopada: Zakład fizyologiczny (Piekarska 52) godz. 7. Prof. dr. A. Beck: O mięśniach i nerwach. — Szkoła im. Mickiewicza (Teatralna 15) godz. 7. Dr. B. Gubrynowicz: O Henryku Sienkiewiczu.

Zgon na ulicy. Wczoraj wieczorem na Wałach Hetmańskich umarł nagle wskutek krwiotoku płucnego Jan Kalata, dozorca domu przy ul. Lenartowicza l. 5. Zwłoki zabrano do kostnicy cmentarza na Janowskiem.

Świętokradztwo. Do cerkwi w Sinkowie koło Zaleszczyk wtargnęli w nocy złodzieje i zabrali kasę bractwa cerkiewnego z kwotą 856 K. Sprawców nie wykryto.

Samobójstwa. Na tor kolejowy po za Wadowicami rzucił się żołnierz 12 pułku dragonów Antoni Błuczek. Pociąg rozszarpał ciało żołnierza. Powodem samobójstwa młodego człowieka była niechęć do służby wojskowej.

W Szumlanach pow. podhajeckiego powiesił się włościanin Hryć Macedoński, człowiek żonaty, z powodu, że sąsiedzi wykryli jego miłostki z jakąś dziewczyną.

Brat Albert. Warszawska *Rola* ogłasza cykl p. t. „Bohaterowie zacofania“. Pomiędzy tymi bohaterami znajduje się także brat Albert i oto co o nim pisze:

Było to pewnego popołudnia, w pogodną, słoneczną niedzielę czerwcową. Na Piasku, w znanej dzielnicy Krakowa, roiło się od ludu roboczego. Jedni podążali na nieszpory do pobliskiego kościoła OO. Karmelitów, drudzy zbaczali do rozmaitych szyneczków. Przed drzwiami takiego szynku ujrzałem zbiegowisko. Szamotano się z pijakiem, przedstawiającym obraz nędzy i rozpaczy. Łachmany na nim ledwie się trzymały, a on sam chrypiał jakimś nieludzkim głosem.

— Sprowadzić policyanta — komenderował opasły właściciel szynku. — Ten szelma gości mi odpędza.

— A mało to wam pieniędzy przedtem zostawił? — ktoś się odezwał.

— Sprawiedliwie mówi — poparł inny. — Maciej, zanim się go ta choroba czepiła, zarabiał po 20 i więcej papierków na tydzień.

Lecz szynkarz pobiegł do posterunku policyjnego, a wśród tłumu ukazał się... mnich.

— Brat Albert! — usłyszałem wśród gwaru, i ludzie rozstępowali się z uszanowaniem.

Nawet policyant ograniczył się do rozproszenia zbiegowiska, a na skinienie mnicha przyzwał fiakra.

Przez ten czas Brat Albert, ująwszy Macieja za rękę, szeptał doń słowa przyjazne. Pijak zdawał się opierać, a nareszcie rzekł:

— Róbcie ze mną, co chcecie.

Mnich przy pomocy policyanta wsadził go do fiakra, prosząc o podniesienie budy, poczem sam wsiadł, a skinąwszy głową, powiedział:

— Dziękuję wam dobrzy ludzie. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — zabrzmiała odpowiedź i wszyscy obnażyli głowy.

— Co to za zakonnik i gdzie on tego nieszczęśliwego wiezie? — pytam jakiegoś poważnego mieszczanina.

— Pan chyba przejezdny, kiedy nie zna Brata Alberta — odparł z akcentem zdziwienia.

Stąd wywiązała się rozmowa, a ja po raz pierwszy dowiedziałem się o powstaniu w Galicyi zgromadzenia religijnego Braci miłosierdzia, inaczej „Albertynami“ zwanych.

— Bo to nie żaden zakon — tłómaczył mieszczanin — Klasztoru nie mają, tylko gospody. Wszyscy są braciszkami, bez żadnych święceń. Żyją twardo; ot, taki szary habit z ordynarnego sukna stanowi całe ich ubranie.

— I co robią, jaki cel mają przed sobą?

— Ach, łaskawco mój, oni wydobywają nietylko duszę, ale i ciało, takich, jak pan widział, nieszczęśników z najgorszego błota... Albo to w jednym tylko Krakowie? Są już we Lwowie, i w innych miastach. Wiadomo panu, że bywają takie miejsca, do których ani księdzu ani zakonnikowi nie godzi się wstąpić. Ubliżałoby to sukience duchownej. Tymczasem Brat Albert i jego towarzysze wszędzie wchodzą, i zewsząd podnoszą ludzi upadłych. Ach, panie, ilu oni już od doczesnego zatracenia a wiekuistego potępienia ocalili!

. . . .

Bawiąc przez dłuższy czas w Krakowie, a później i w innych miejscowościach, miałem sposobność przyjrzeć się działalności Albertynów i ich organizatora, Brata Alberta. Pijacy nałogowi, o których poprawie wątpiła nawet najbliższa rodzina, włóczęgi najrozmaitszego rodzaju, rozpustnicy i awanturnicy, wykolejeni przez jakieś nieszczęście, wpadający w rozpacz lub cynizm — oto materyał, który „Szarzy Braciszkowie“ — bo tak ich w wielu okolicach lud zwykł nazywać — przerabiali w ludzi uczciwych. Kto z podźwigniętych chce, wraca do świata. Brat Albert zawsze znajdzie mu miejsce i pracę. Kto zaś umiłował ubóstwo, pracę i posłuszeństwo, ten raz przywdziawszy szary habit, pozostaje w nim do śmierci i podąża z ratunkiem ku takim, do jakich sam się niedawno zaliczał.

A proszę nie myśleć, że ci wszyscy braciszkowie, zajmujący się najgrubszemi rzemiosłami, przebiegający piechotą kilkunastomilowe przestrzenie, zimą i latem jednakowo ubrani, żywiący się najprostszemi potrawami, należą wyłącznie do prostaczków. Bynajmniej! Miałem sposobność poznać między Albertynami wielu bardzo inteligentnych, przyzwyczajonych poprzednio do wygód, a nawet zbytku. Kim oni byli? Jaka ich przeszłość? Nie godziło się pytać. Lecz gdym któregoś zapytał, co go skłoniło wstąpić do zgromadzenia, każdy bez wahania odpowiadał: miłość Boga i bliźniego; a wielu dodawało: przykład Brata Alberta.

Ludziom światowym zgromadzenie nasze — mówił mi jeden z Albertynów — może się wydać jakąś marą średniowieczną, nie licującą z oportunizmem i trzeźwością naszych czasów. Bo po co — prawił mi jeden z nich — ten gruby, szorstki i nieestetyczny habit? Po co te umartwienia ciała i prostaczy, prawie pustelniczy tryb życia? Wszak i bez tego można spełniać dzieła miłosierdzia i czynnie propagować altruizm...

— A Brat co na to?

— Zapytałem go, czy się zastanowił historycznie nad tem, jakie wydało owoce miłosierdzie pod godłem ewangelicznych cnót: pokory, ubóstwa i posłuszeństwa, jakie za przewodem wyrozumowanej etyki i filozoficznego altruizmu? Ten, kto czynnie spełnia akty miłosierdzia bez uniżenia się, bez poskromienia ułomności i namiętności ciała, będzie tylko, że się tak wyrażę, dyletantem w sprawach miłości bliźniego. Co naprzykład we Francyi zdziałały świeckie stowarzyszenia w sprawie podnoszenia kobiet upadłych, w porównaniu z Magdalenkami?

Tak jest, Albertyni, bez tego ustroju, jaki im nadał ich założyciel, bez żarliwej pobożności i w swoim rodzaju ascetyzmu, nie osiągnęliby ani w dziesiątej części wpływu, jaki już znamiennie wywarli i coraz potężniej wywierają. Zrozumiał to doskonale fundator zgromadzenia, które powstało przed niespełna 12 laty i liczy już obecnie kilkanaście gospod, setki czynnych braci i tysiące odrodzonych chorych dusz.

. . . .

Pewnego razu Brat Albert dawnemu znajomemu, który mu przypominał pełną ułudy przeszłość, odpowiedział:

— Dajmy pokój wspomnieniom. Gustaw umarł — narodził się Konrad. Ja dziś jestem tylko bratem Albertem...

A przecież przed laty kilkunastu był to jeden z głośniejszych naszych artystów-malarzy, o którym krytycy fachowi, z profesorem Gersonem na czele, głosili hymny pochwalne. Lecz dusza artysty nie znajdowała w sztuce ukojenia. Gdy uczuł się bezsilnym uplastycznić to, co tkwiło w głębi duszy szlachetnej, porzucił bez wahania pędzel i paletę. Ujście dla swych pragnień i ukojenie smutków, nurtujących w duszy znalazł w pełnieniu najpierwszego i największego przykazania: miłości Boga i miłości bliźnich. Snać w duszy Brata Alberta miłość ta rozpalała się żywym płomieniem, kiedy w wieku dojrzałym porzucił wszystkie marności ziemskie, i początkowo sam, a później znalazłszy towarzyszy, wytworzył zgromadzenie, kojące choroby dusz ułomnych i dźwigające upadłych.

Jak O. Beyzym, poświęcający się dla trędowatych na Madagaskarze, tak i brat Albert z towarzyszami, ratujący bliźnich od trądu moralnego, zaliczają się do bohaterów współczesnych, bohaterów... zacofania.

Katastrofa pod Dax. Świeża katastrofa z „Sudexpressem" pod Dax, we Francyi, na kolei orleańskiej, należy do najcięższych, jakie notuje historya nieszczęść kolejowych w latach ostatnich. Jak wiadomo z depesz, pociąg z przyczyn, dotychczas niewykrytych, wyskoczył z szyn, przyczem 14 osób poniosło śmierć na miejscu, kilkanaście zaś odniosło ciężkie rany. Katastrofa zdarzyła się w chwili, gdy większość podróżnych siedziała w wagonie restauracyjnym przy śniadaniu. W tym właśnie wagonie, a raczej pod jego szczątkami, znaleziono martwe zwłoki. Prawdopodobnie przyczyną katastrofy była zbyt wielka szybkość pociągu, który po pochyłości pędził z szybkością 102 kilometrów na godzinę. Lista zabitych wykazuje nazwiska następujące: 1) Jose Canevaro, minister pełnomocny Peru w Paryżu; 2) Alfredo Elster, sekretarz ambasady peruwiańskiej w Paryżu; 3) panna Marya Valacialo, pokojowa pani Canevaro; 4) Kurmps, inżynier z Brukseli; 5) pani Bernain; 6) Bernain, jej syn; 7) pani Karolina Dąbrowska; 8) Andrzej Cabeau, oficyalista wagonu restauracyjnego; 9) d'Ortheaga, podróżny jadący z Biarritz; 10) Albert Standye, ajent Towarzystwa „Thompson"; 11) Andrzej Landes z Paryża; 12) Kamil Blanchard, dyrektor banku z Brukseli; 13) Edward Levi z Meksyku; 14) Ladoche, jubiler z Paryża.

Oto opowieść o katastrofie, podana przez jednego z podróżnych ranionych, inżyniera Dąbrowskiego z Kijowa, męża zabitej pani Karoliny Dąbrowskiej, 34-letniej córki Leopolda Makomaskiego, i, jak podają dzienniki francuskie, Maryi Zarenwskiej (?):

„Po zwiedzeniu wystawy paryskiej udałem się do Biarritz. Żona moja bawiła wówczas w Kijowie z trojgiem dzieci, z których najstarsze liczy lat 13. Po pewnym czasie, żona ulegając moim prośbom, przybyła do Biarritz, skąd zatrzymując się po drodze tu i ówdzie, podążyliśmy do Madrytu. By zakończyć podróż wesoło, postanowiliśmy powrócić raz jeszcze do Paryża „Sudexpressem".

Pociąg składał się, oprócz lokomotywy i tendra, z wagonu restauracyjnego, dwóch wagonów salonowych i wagonu służbowego. O godz. 11 m. 30 przed poł. oficyalista towarzystwa wagonów sypialnych zawiadomił nas, iż podano śniadanie. Usiedliśmy przy małym stoliku, umieszczonym w rogu wagonu restauracyjnego, żona moja tyłem, ja przodem do lokomotywy. Właśnie byliśmy w trakcie spożywania drugiego dania, gdy nagle uczuliśmy potężne wstrząśnienie podłużne. Butelka wina, stojąca na brzegu naszego stołu, spadła na ziemię. Wagon silnie pochylił się naprzód. Dały się słyszeć krzyki podróżnych. W jednej chwili ujrzałem żonę moją leżącą na ziemi pośród innych ciał. Zdawało mi się, iż zagłębiam się w jakąś przepaść bezdenną!

Instynktownie zamknąłem oczy. Gdym otworzył powieki, ciemność panowała zupełna. Byłem zamknięty w rodzaju klatki, utworzonej z odłamków różnorodnych. Miałem rękę złamaną i napróżno starałem się ją wydobyć z pod gniotącego ciężaru.

— Jeśli dach nie spadnie na mnie — pomyślałem — będę uratowany.

I zacząłem wołać:

— Karolino! Karolino!

Ale głos mój ginął we wrzawie krzyków i jęków, rozlegających się naokół. Uczułem, że na czoło kapią mi i parzą krople jakiegoś płynu. Był to kwas siarczany ze stłuczonego stosu elektrycznego, służącego do oświetlania. Aby uniknąć tej męki, staram się znów, ale znów nadaremnie, wydobyć stłuczoną rękę z pod stosu gruzów. Blizko mnie jakaś kobieta jęczy straszliwie. Noga jej, która porusza się nieustannie, kopie mnie w piersi. Po pewnym czasie kobieta uspokaja się. Nieszczęśliwa wyzionęła ducha.

Powoli krzyki i jęki cichną. Śmierć robi swoje. Za to z zewnątrz dochodzą nas głosy coraz to żywsze. Widocznie idą nam na pomoc. Tak minęły trzy kwadranse. Śpieszący nam na pomoc usuwają powoli rumowiska. Przez szczelinę, którą utworzyli przy pomocy haków i toporów, widzę wązkie pasmo światła. Widzę teraz, że leżę na ziemi, a szczątki wagonu restauracyjnego mam nad sobą.

Po chwili dostrzegłem jednego z ratujących. Usłyszał moje jęki i woła:

— Jest tu kto?!

Dwie silne ręce chwytają mnie i podnoszą. Jestem ocalony... Ale moja żona!... Znaleźliśmy ją dopiero po dwóch godzinach poszukiwań pod stosem zwłok. Prawdopodobnie nie cierpiała długo, bo miała czaszkę zgruchotaną. Lekarze zapewniają, że śmierć była natychmiastowa. Wieśniacy z Saint-Geours zaczęli pomagać w ratunku służbie kolejowej. Jak przez mgłę widziałem szeregi trupów, składanych nad brzegiem nasypu i ranionych, przenoszonych do folwarku sąsiedniego".

Zwłoki pani Dąbrowskiej, umieszczone aż do czasu załatwienia formalności w kościele Saint-Thomas d'Aquin w Paryżu, przewiezione będą do Kijowa.

Obyczaje weselne w Hiszpanii. Pan Stanisław Bełza w dziełku swem „W Pirenejach" tak opisuje obyczaje tamtejszej ludności:

„Kobieta nie wychodzi tu za mąż, jak gdzie indziej, lecz jest porywaną przez mężczyznę. W wigilię ślubu, do mieszkania jej rodziców przychodzi grupa młodych ludzi z jej przyszłym. Zastają dom szczelnie zamknięty. Narzeczony uderza trzy razy do drzwi, zabarykadowanych, poza któremi znajduje się jego oblubienica; jej towarzyszki odpowiadają mu głośnym śmiechem. Rozpoczyna się śpiewany dyalog, przybyli wyliczają dary, z jakimi do panny przyszli, ale to wszystko nie wzrusza jej bynajmniej. Wtedy zdobywają się na najsilniejszy efekt, pewni, że ich nie zawiedzie.

— Otwórz, otwórz, nieczuła dziewczyno — wołają — przyprowadzamy ci młodego człowieka, kochanka do swojej kochanki.

Na ten głos, jakież kobiece serce okazałoby się głazem: drzwi się otwierają, ale przybyli nie znajdują panny w pokoju. Zanim weszli, uciekła. Puszczają się zatem za nią w pogoń, szukają po ogrodzie, na strychu, w komórkach, w skrzyniach, a kto ją pierwszy odnajdzie, ma prawo serdecznie wyściskać, i obcałowaną przyprowadza uszczęśliwionemu oblubieńcowi.

Panna zatem przed ślubem, niby drogocenna perła na dnie morza, każe się poszukiwać i porywać, ale po ślubie staje się własnością męża i służebnicą. Posługuje mu kiedy je, nie śmie usiąść z nim razem do stołu, spełnia wszystkie jego zachcenia. Ale jest ona jego poddaną wtedy tylko, jeżeli przy uczcie weselnej nie zapomni on o jednej ważnej rzeczy. Oto fałdy jej sukni w chwili, gdy z nią przy stole siedzi, powinny pokrywać jego nogi. Jeśli przypadkiem zapomni o tem, biada mu i wstyd! Rządy jego domu przejdą niepodzielnie w jej ręce, on zaś z roli swojej wytrącony zostanie, i to na zawsze.

Woalki przyczyną zaczerwienienia nosa. Według twierdzenia niektórych lekarzy, noszenie woalek powoduje nierzadko zaczerwienienie nosa, już to skutkiem mocnego jej napięcia, już to skutkiem noszenia jej bez przerwy przez kilka godzin. Tworzeniu się czerwoności sprzyja: 1) tkanka woalki, której nitki trą tem mocniej skórę przekrwioną i wilgotną, im bardziej skóra wciśnięta jest w otwory woalki, 2) delikatna cera łącząca się z wielką wrażliwością nerwów i 3) nieżyt, czyli katar nosa. Zaniechanie woalki usuwa przykre objawy.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części klasztoru na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu w naszej redakcyi: M. Rutkowska z Zakopanego (z prośbą o Mszę św. za duszę śp. Włodzimierza) 4 K.; E. G. z Winnik (z prośbą o wydrowienie) 4 K.; Aleksandrowiczowa z Borek wielkich (z prośbą o opiekę Matki Boskiej i zdrowie dla rodziny) 3 K.; E. Jaworska z Teodorówki koło Tłumacza (z prośbą o wyzdrowienie chorego syna) 2 K. Dotychczas złożono u nas na ten cel: **4.035 K. 77 gr.**, trzy dukaty i dziesięć marek w złocie.

Zmarli. W Paryżu Ignacy Kozikowski, prof. szkoły batignolskiej, lat 86. — W Krakowie Marya Riedlowa, żona inżyniera, lat 23; Adolf Porecki, emer. urzędnik kolei państwowej, lat 47. W Wieliczce Edyta Windakiewiczowa, żona radzcy sądu kraj., lat 33. — W Puławach, dyecezyi przemyskiej ks. Omelian Antoniewicz, gr. kat. proboszcz, lat 60 wieku, a 28 kapłaństwa.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +5, w poł. +6 R. Bar. 774. Podnosi się. Pochmurno.

Na czem szczęście polega? Potężnym kalifem był Mohamed Ali, tak potężnym, iż słońce przez pół dnia sunęło po firmamencie, zanim wyszło z dzielnic, pozostających pod jego władzą. Bogactwa miał nieprzeliczone, przyjaciół wiernych, harem cudny, a jednak robak zwątpienia gryzł duszę mocarza i nie dawał mu spokoju ni w dzień ni w nocy.

— Szczęście! Gdzieżeś, o szczęście?! — pytał i nie otrzymywał odpowiedzi.

Wreszcie zwołał kalif mędrców z całego wschodu i odkrył przed nimi duszę swoją. Brakowało mu do szczęścia czegoś niepochwytnego, czegoś nieokreślonego przez bogaty język arabski, czegoś niezdefiniowanego przez najgłębszych znawców mądrości wszelakiej. Ale czego?

A gdy mędrcy, zatopieni w myślach, suszyli sobie mózgi nad rozwikłaniem zagadki, dowiedziała się o strapieniu kalifa najcudniejsza z cudnych pereł haremu, Zulejka. Dowiedziawszy się, zatopiła się w zamyśleniu, a potem czekała, aż noc nadejdzie. A gdy północ minęła i najświetniejsze gwiazdy zabłysły na niebie, zasłoniła sobie oblicze kwefem, omyliła czujność straży i niepostrzeżenie zjawiła się u łoża kalifa.

— Kto tam?

— To ja, panie i władzco. Szereg nieszczęść zwalił się na twoją głowę. Oto podwładne ci szczepy zbuntowały się i obrały nowego kalifa....

— Biada mi! — zawołał kalif — byłem wczoraj jeszcze potężny, a dziś jestem nędzniejszy od najnędzniejszego!

— Nie dosyć na tem panie. Złodzieje dostali się do skarbca twego i zabrali wszystko złoto i klejnoty.

— Biada mi! byłem wczoraj jeszcze bogaty, a dziś jestem uboższy od najuboższego!

— I na tem jeszcze nie koniec, o panie! Ukochana twoja niewolnica, Fatma, przekupiwszy eunuchów, zbiegła z haremu.

— Biada mi! — wołał kalif, łamiąc ręce — oto wczoraj jeszcze byłem kochany, a dziś jestem jako najnędzniejszy robak na tej ziemi!

I w rozpaczy tarzał się po kobiercach sypialni.

Wtedy Zulejka przypadła mu do nóg i szeptała:

— Władzco mój a panie! Wszystko, com rzekła, jest kłamstwem. Jesteś, jak byłeś, i potężny, i bogaty, i kochany....

— Czemużeś to uczyniła Zulejko? — pytał kalif zdumiony.

— Panie! Utyskiwałeś przed mędrcami, iż brakuje ci czegoś do szczęścia. To coś, to była świadomość tego szczęścia. Przez tę chwilę, gdyś myślał, żeś stracił to, co cię szczęśliwym czyniło, świadomość tego szczęścia uzykałeś. Dziś do zupełnego szczęścia nic ci nie brakuje, o potężny kalifie.

A kalif zadumał się głęboko, albowiem Zulejka miała racyę. Odprawił mędrców, przestał urągać przeznaczeniom i odtąd powrócił spokój do jego duszy....

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we środę „Nasi najserdeczniejsi", komedya w 4 aktach W. Sardou. We czwartek „Traviata", opera w 4 aktach Verdi'ego, trzeci i przedostatni gościnny występ Wiktora Grąbczewskiego, artysty opery warszawskiej. W piątek po raz pierwszy „Rodzeństwo", komedya w 4 aktach Ignacego Grabowskiego. W sobotę „Traviata".

Głosy publiczności.

Podziękowanie. Dnia 28 września b. r. odbył się festyn a następnie bal w sali „Sokoła" na rzecz tutejszego szpitala powszechnego. Dzięki nadzwyczaj gorliwym staraniom komitetu pań z okolicy i z miasta, pod przewodnictwem p. marszałkowej Truskolaskiej i komitetu panów pod przewodnictwem marszałka powiatowego p. Truskolaskiego tak festyn jak i bal wypadł świetnie pod każdym względem. Dyrekcya szpitala składa wszystkim tym Paniom i Panom, którzy w skład komitetu wchodzili, serdeczne podziękowanie.

Sanok 20 listopada 1900 r.

Dr. Zygm. Nowak, dyr. szpitala.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 19 listopada.

(Z). W bardzo słabem usposobieniu rozpoczęto obroty nowego tygodnia, a wielu spekulantów już dziś zabrało się do likwidacyi swych zobowiązań ultimowych, jakkolwiek ma przed sobą jeszcze przeszło tydzień czasu. Pessymistyczny nastrój sfer giełdowych, zwłaszcza niemieckich, wytworzył się dziś pod wpływem wiadomości, że właściciel największych zakładów przemysłowych w Niemczech Fryderyk Krupp w rozmowie z bankierem berlińskim Delbrückiem wyraził się podobno, iż w przyszłym roku stosunki niemieckiego przemysłu żelaznego będą jeszcze gorsze, niż w bieżącym. I nasze przedsiębiorstwa żelazne nie wiele spodziewać się mogą od najbliższej przyszłości; ostatnimi czasy obniżyły one znacznie cenę żelaza: huty czeskie o 2 korony, a towarzystwo alpejskie aż o 4 korony na centnarze, a jednak i to ustępstwo nie wywołało najmniejszego zwiększenia się liczby zamówień na żelazo.

Przed kilku dniami popłoch niemały wywołała w sferach niemieckich przemysłowców wiadomość, że huty francuskie w Pont à Mousson oferowały miastu Brunszwikowi rury z żelaza lanego po bajecznie niskiej cenie $8\frac{1}{2}$ marki za 100 kilogramów. Z taką ofertą oczywiście żadna fabryka niemiecka nie mogła konkurować, gdyż cena ta nie pokrywa nawet kosztów produkcyi, to też wszystkie niemieckie fabryki wycofały swoje oferty i zostawiły konkurencyi francuskiej swobodne pole. Dzisiejsza depesza donosi jednak, że owa fabryka francuska nadesłała do zarządu miejskiego w Brunszwiku pismo, w którem oświadcza, iż pomyliła się w oznaczeniu ceny w swej pierwotnej ofercie, gdyż cena ta ma być nie $8\frac{1}{2}$, ale $13\frac{1}{2}$ marki za 100 kil., dlatego też cofa swą pierwszą ofertę, a oferuje rury po $13\frac{1}{2}$ marki. I ta cena jednak wydaje się fabrykantom niemieckim za niską i namyślają się oni, czy stanąć ponownie do konkurencyi.

Popyt o walory lokacyjne, który przez cały tydzień ubiegły tak ożywiał targ wiedeński, zmniejszył się dziś znacznie, tylko losy były poszukiwane. Zdaje się, że niebawem pojawi się dekret cesarski powiększający kontyngent srebrnych monet pięciokoronowych. Dekretem z 21 września 1897 ustanowiono ten kontyngent na 64 milionów koron. Jest on obecnie w całości wyczerpany, a mimo to zapotrzebowanie tego rodzaju monet jest jeszcze znaczne, zwłaszcza wobec tego, że noty pięcioguldenowe ściągają z obiegu.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 658·00, węgierskie 669·00, Anglobanki 270·00, Uniony 544·00, Bankvereiny 470·00, Länderbanki 410·00, Ludwiki 425·35, Czerniowieckie 535·00, Elbethale 469·00, Renta papierowa 98·10, srebrna 97·75, austryacka złota 115·35, austr. renta wal. kor. 98·25, węgierska złota 115·10, węgierska renta wal. kor. 90·35, dukat 11·38, 20-franków. 19·20 —, 20-markówka 23·52—, ruble $2·54\frac{1}{4}$.

Bank rolniczy we Lwowie. Lwów, dnia 21 listopada 1900.

Ruch ograniczony, ceny pszenicy i żyta cokolwiek się obniżyły, inne produkta notują się niezmiennie.

Przy słabym obrocie tendencya niezmienna.

Dziś notujemy za 50 klgr. loco Lwów: (Waluta koronowa). Pszenica gotowa 7·40 do 7·50, pszenica na termina 7·20 do 7·30, żyto gotowe 6·25 do 6·50, żyto na termina 6·20 do 6·30, owies obroczny gotowy 6.10 do 6·30, owies obroczny na termina 5·75 do 6·—, jęczmień pastewny 5·— do 5·50, jęczmień browarniany 6·25 do 6·75, rzepak 13·25 do 13·50, lnianka 10·25 do 11·—, groch pastewny 6·— do 6·50, groch do gotowania 7·25 do 12·—, wyka 0·— do 0·—, bobik 5·80 do 6·20, hreczka 0·— do 0·—, kukurudza nowa 0·— do 0·—, kukurudza stara 0·— do 0·—, chmiel za 56 kilo —·— do —·—, koniczyna czerwona 55·— do 65·—, koniczyna biała 35·— do 65·—, tymotka 19·— do 24·—, spirytus paritas Tarnopol gotowy za 50 litr 17·75 do 18·—, spirytus paritas Tarnopol na termina 16·25 do 16·75.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 20 listopada.

Zarówno u nas, jak w Węgrzech, młynarze skarżą się na utrudniony zbyt mąki; dlatego ograniczając produkcyę, pokrywają tylko konieczne potrzeby, a większych zapasów nie robią. Z drugiej strony zaofiarowanie nie jest także zbyt wielkie i sprzedający nie łatwo godzą się na dalsze ustępstwa — tak, że ceny utrzymują się prawie niezmienione, chociaż w handlu zupełny panuje zastój.

Płacono: pszenicę białą od 8·25 do 8·60 K., czerwoną 8·20 do 8·50 K., żółtą 8·20 do 8·50 K., żyto 7·20 do 7·50; jęczmień browarny 6·75 do 7·50 koron; na krupy 6·15 do 6·30 K.; owies 6·40 do 6·75 K., rzepak —·— do —·— K., konicz czerwony —·— do K., biały —·— do —·— K., kukurydza —·— K., — wszystko za 50 kilogramów.

Bank gal. dla handlu i przemysłu.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe Izby handlowo-przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 12go do 18go listopada — bez opłaty akcyzowej. Waluta koronowa i za 50 kilogramów. Pszenica stara 7.45 do 7.65, żyto 6.40—6.60, jęczmień browarny 6.15—6.50, jęczmień pastewny 5.——5.50, owies 5.80—6.10, hreczka 0·00—0·00, kukurudza zeszłoroczna 0.00—0.00, kukurudza nowa 0.00—0.00, proso 0.00—0.00, groch do gotowania 8·——11—, groch pastewny 6.25—7.40, soczewica 0.00—0.00, fasola 0.00—0.00, bobik 5.75 do 6.15, wyka 6.00—6·25, koniczyna czerwona 60.00 do 66.50, koniczyna biała 30.50—50.—, szwedzka do 00.00, tymotka 19—22, anyż rosyjski .—, anyż płaski —.—, kminek 00—00, rzepak zimowy 13.25 do 13.50, rzepak letni 00.— do 00.—, lnianka —, nasienie lniane 00.00—00.00, nasienie konopne do 0.0, chmiel 65.——68.—, nafta zwykła 17.50 do 18.50, salonowa 19.00—20.00, łój topiony 37.00 do 38.00, spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany bez opłaty podatku 37.45—37.95.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Berlin 21 listopada. W dalszym ciągu obrad parlamentu nad sprawą chińską p. Richter ostro krytykował mowę ces. Wilhelma, wypowiedzianą przy odjeździe wojsk do Chin. Kanclerz Bülow oświadczył, że twierdzenie posła Richtera, iż propozycya rosyjska w sprawie wycofania wojsk z Pekinu da się wytłumaczyć pewnem zrażeniem się Rosyi do Niemiec, nie jest zgodne z prawdą. Właśnie cesarz rosyjski złożył w ręce Niemiec naczelne dowództwo w Chinach. W odpowiedzi na wywody Bebla, rzekł kanclerz, że Niemcy także w przyszłości będą ochraniały misye w państwie chińskiem, gdyż uważają sprawowanie protektoratu nad chrześcijanami w Chinach, tak samo jak na Wschodzie, za obowiązek honorowy Niemiec. Co się tyczy krytyki mów cesarskich ze strony Richtera, to oświadczył hr. Bülow, że jakkolwiek jest odpowiedzialny tylko za zarządzenia i zlecenia cesarza, to jednak obejmuje w zupełności odpowiedzialność moralną za przemówienia cesarza i przedewszystkiem podnosi, że większość narodu niemieckiego zrozumiała myśl intencyi monarchy. Cesarz wygłosił mowę w Bremerhaven jako żołnierz, a nie jako dyplomata, wygłosił ją nadto w chwili, gdy mniemano, że wszyscy Europejczycy osaczeni w Pekinie, zostali wymordowani. „Zresztą — powiada Bülow — zapewniam, że mały palec któregokolwiek dzielnego muszkietera niemieckiego jest dla mnie ważniejszy, niż cała ta hołota bokserska. Także w przyszłości będziemy się trzymali zdala od kwestyi, które nas nie obchodzą, ale nie damy się pozbawić równorzędności z innemi mocarstwami, jakoteż prawa zabierania głosu w świecie. Nie jesteśmy w Chinach sami jedni na placu, sześć innych mocarstw, a niektóre z nich w znacznie większych rozmiarach są tam zaangażowane. Jesteśmy mocarstwem wielkiem i nie damy sobie ani wydrzeć, ani ukrócić prawa do rozumnej polityki światowej". (Żywe oklaski). — P. Kardorff przyłącza się do wniosku odesłania sprawy w mowie będącej do komisyi.

Bukareszt 21 listopada. (Proces Mihaileanu). Wczoraj rozpoczęły się *plaidoyers* obrońców. Bułożano, obrońca Iliewa, prosi o przyznanie mu okoliczności łagodzących. Lahovary, obrońca Stoicewa oświadczył, że z początku wahał się przyjąć obronę podsądnego, który nadto nie jest poddanym rumuńskim. Ależ nawet morderca króla Humberta znalazł obrońcę. Stoicew nie brał czynnego udziału w morderstwie. Obrońca prosi o przyznanie okoliczności łagodzących. Na pytanie przewodniczącego zeznaje Stoicew, że nie należał do komitetu sofijskiego i nie znał Sarafowa, a był tylko członkiem komitetu patryotów w Bukareszcie. Obrońca Karambelowa powiada, że ten oskarżony nie należał do komitetu sofijskiego i nie brał udziału w żadnem morderstwie; obrońca poleca go łasce przysięgłych. Po przerwie przemawiali obrońcy Trifanowa i nadmienili, że on nigdy nie spiskował przeciw państwu rumuńskiemu, a tylko dążył do oswobodzenia Macedonii. Także ks. Battenberg należał do pierwszego komitetu macedońskiego. To, że Europa milczała, gdy Bułgarya przyłączyła do siebie Rumelię, dodało komitetowi otuchy. Zresztą Trifanow swojem przyznaniem się uratował życie króla Karola.

Obrońca Dimitrowa wskazywał na małoletność podsądnego, który zrzeka się jednak tej okoliczności łagodzącej. Dimitrow sam również oświadczył, że zrzeka się ulg, wynikających z tego, iż jest małoletnim.

Wyrok zapadnie we czwartek.

Kopenhaga 21 listopada. Rozpowszechnione za granicą pogłoski o tem, jakoby nadeszły tu niepomyślne wiadomości o zdrowiu cara, są zupełnie bezpodstawne.

Petersburg 21 listopada. Wielki książę następca tronu przybył do Gatczyny.

Bruksela 21 listopada. W parlamencie belgijskim zainterpelował socyalista Van der Velde, czy istnieje konwencya belgijsko-francuska w sprawie wydawania zbrodniarzy małoletnich. Stronnictwo mówcy uznaje karygodność czynu, jakiego dopuścił się Sipido (wykonał zamach na ks. Walii), ale neguje ważność umowy, na podstawie której wydała go Belgii Francya. Minister sprawiedliwości oświadczył, że nie istnieje umowa w sprawie wydawania nieletnich złoczyńców, a zawarto tylko prosty układ, który nie potrzebował zatwierdzenia Izby. Wniesiono w tej sprawie kilka porządków dziennych. Obrady odroczono do dnia następnego.

Liwadya 21 listopada. Biuletyn, wydany wczoraj o godz. 11-tej przed południem opiewa: Car przepędził dzień wczorajszy zadawalająco, o 9-tej wieczorem była temperatura 39·00, puls 80. Car spał spokojnie do 3 rano, później sen był przerywany i wystąpiły poty. Rano cesarz czuł się dość dobrze. Temperatura wynosiła 38, puls 70.

Wiedeń 21 listopada. Rada miejska przyjęła wniosek, dotyczący zwołania w pierwszej połowie grudnia wiecu miast, który ma się zająć między innemi roztrząsaniem skutków finansowych noweli o prawie swojszczyzny, wchodzącej w życie z dniem 1 stycznia 1901, żądaniem wynagrodzenia gmin za załatwianie czynności politycznych, sprawą ulżenia gminom opieki nad ubogimi ze strony państwa itp.

Budapeszt 21 listopada. Izba magnatów rozpoczęła wczoraj nową sesyę. Przewodnictwo objął nowy prezydent hr. Csaky. Po krótkiej dyskusyi przyjęto przedłożenie rządowe w sprawie wcielenia do ustaw deklaracyi arcyks. Franciszka Ferdynanda.

Poznań 21 listopada. Arcybiskup Stablewski rozesłał do duchowieństwa okólnik, wzywający do modłów dziękczynnych z powodu nieudania się zamachu na cesarza Wilhelma.

Waszyngton 21 listopada. Stany Zjednoczone uczyniły podobno propozycyę, jak onego czasu Rosya, mianowicie, aby uregulowanie kwestyi wynagrodzenia szkód i strat ze strony Chin poruczyć międzynarodowemu sądowi rozjemczemu w Hadze.

Kraków 21 listopada. Do jednego z hoteli przybyła tu wczoraj wieczorem była artystka teatru krakowskiego, p. Zofia Grodzka. Nagle dostała p. Grodzka wczoraj wieczór obłędu, tak, że musiano odstawić ją do szpitala.

Dzisiaj odbywały się w dalszym ciągu próby wodociągów. Prowadziła je straż ogniowa, celem przekonania się, czy siła prądu z otworów na ulicach jest dostatecznie silną, aby mogła być użytą przy gaszeniu pożarów w kamienicach. Okazało się, że prąd wody jest tak silny, iż dosięga trzeciego piętra, a puszczony na drzewo, łamie gałęzie.

Wypadki w Chinach.

Berlin 21 listopada. Waldersee donosi z Pekinu: Dwie kompanie piechoty, dwie armaty i oddział jazdy pod dowództwem majora Muehlenfelsa wyruszyły dziś drogą na Sakiatien od Pekinu do wielkiego muru. — Kolumna Jorka dotarła dnia 17 b. m. do Kiuing.

Londyn 21 listopada. Dzienniki donoszą z Szangaju: Jak słychać, nadszedł tu tajny edykt cesarzowej-wdowy, zawierający wezwanie do wicekrólów i gubernatorów, aby natychmiast gotowi byli do wojny ze sprzymierzonymi.

Sofia 21 listopada. Na nowej linii kolejowej z Ruszczuku do Tirnowy wykoleił się pociąg osobowy; jeden oficer zabity, 9 podróżnych rannych.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Poświadcza się niniejszem, że Pan Jan Kogut, rzeźbiarz z Janowa obok Lwowa, wykonał w ostatnich latach dla rz. kat. kościoła parafialnego w Niemirowie wielki ołtarz pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny Szkaplerznej, boczne ołtarze Najsł. Serca P. Jezusa, ołtarz św. Anny i ołtarz Pana Jezusa Ukrzyżowanego za przystępną cenę i bardzo gustownie, tak, że robota ta Pana Koguta spotyka się z ogólnem uznaniem znawców, a podług orzeczenia Najprzew. Księdza biskupa Webera, wizytującego ten kościół w r. 1899 jedynie prawie dla roboty p. Koguta, kościół parafialny rz. kat. w Niemirowie należy do najwspanialszych w okolicy kościołów.

Zarząd kościoła parafialnego rz. kat.

w Niemirowie dnia 15 listopada 1900,

Ks. Antoni Breite, proboszcz,

Floryan Lewandowski,

Kazimierz Komusiński,

Jakób Lewandowski.

Lwów 21 listopada (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 koron 424·00 do 430·00. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 400 kor. 531.00 do 541.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 630.00 do 650.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 150·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 420·— do 440.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 354.— do 364.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·30 do 110·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 98·30 do 99·00, 4 proc. los. w 60 lat 89.80 do 90·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 98.50 do 99.20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 92·00 do 92·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 91·50 do 92·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 92.20 do 92·90, 4 proc. los w 56 lat 90·80 do 91.50.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 95·50 do 96·20. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 100·00 do 100·70. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·50 do 101·20. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98·70 do 99·40. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. 102·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 92.00 do 92·70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 88·30 do 89·00.

Monety. Dukat cesarski 11·35 do 11·50. Napoleondor 19·20 do 19·50. Rubel rosyjski papierowy 254·— do 256.—. 100 marek niemieckich 117·30 do 118·00.

Wiedeń 21 listopada. (Giełda towarowa). Cukier 25·30. Tendencya słaba. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus 42·60. Tendencya słabsza.

Berlin 21 listopada. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·00. Spirytus 45·80.

Paryż 21 listopada. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·65. Mąka („Fleur de Paris) 25·95.

29

Na dnie przepaści

POWIEŚĆ

Jerzego Ohneta.

(Ciąg dalszy).

Było to tak mało, że tylko przy największej oszczędności mogło wystarczyć na potrzeby Lei i moje. Lecz cóż, skoro nieład w jej domu był chronicznym, a przytem i ja nie byłem przewidującym. Po kilku miesiącach znalazłem się w położeniu bardzo ciężkiem. Lecz po co ja przypominam szczegóły z tej smutnej epoki mego życia? Znacie je równie dobrze jak i ja. Ty zwłaszcza, Marenvalu, coś ratował mnie w potrzebie, a i ty Chrystyanie usiłowałeś wyrwać mnie z tego życia poniżającego. Gra w karty stała się wtedy źródłem moich dochodów, a dla wzmocnienia sił wyczerpanych w nocach bezsennych, zacząłem pić.

Tak powoli, staczając się przez te kilka lat przeklętych coraz niżej, utraciłem poczucie godności człowieka, stałem się podobnym do bydlęcia i pozostałemi jeszcze przebłyskami inteligencyi posługiwałem się już tylko dla zaspokojenia mych popędów niskich. Bo chociaż Lea była przywiązaną do mnie przez wdzięczność za to, co dla niej uczyniłem, ja jednak, znudzony nią, nie wahałem się zdradzać jej. Zapewne, lepiej by było, gdybym się wyrzekł jej i rozpoczął życie inne. Lecz opętał mnie jakiś głupi upór, jak gdyby rozejście się z nią było zrzeczeniem się wszystkich poniesionych dla niej ofiar. Byłem w położeniu gracza, usiłującego odzyskać przegrane pieniądze. Kosztowała mnie ona tak wiele, że nie mogłem się zdobyć na opuszczenie jej. A przytem bałem się jej egzaltacyi, scen zazdrości i zemsty, gdyby się dowiedziała, żem ją zdradzał, a była chwilami tak gwałtowną, że mogła, jak sama oświadczała, nawet zabić człowieka.

— Co mi pozostanie, jeżeli cię utracę? — mawiała. — Życie moje już zmarnowane. Wyrzekłam się wszystkiego dla ciebie. Gdy cię poznałam, szanowano mnie jeszcze. A dzisiaj, czem jestem? Zwykłą ladacznicą. Moja rodzina wyparła się mnie i nie odpowiada na moje listy. Dla ciebie zerwałam z przeszłością, więc twoja przyszłość należy do mnie.

Pewien głośny kompozytor muzyczny zachwycony jej głosem, gorąco namawiał ją do wystąpienia w operze. Popierałem ten projekt, liczyłem bowiem, że dochody pierwszorzędnej śpiewaczki wystarczą na utrzymanie jej domu. Nadto miałem nadzieję, że upojona powodzeniem i otoczona gronem wielbicieli zapomni o mnie. Lecz odmówiła stanowczo z powodu, że przyrzekła rodzinie swej, iż nigdy nie wystąpi na deskach teatralnych.

I żyła dalej w ciągłych kłopotach i nie dbając o przyszłość. Przyjmowała tylko swoich rodaków i moich przyjaciół. Wiadomo mi, że odtrąciła wielu ubiegających się o jej względy. Żałowałem tego, bo wyrządziłby mi przysługę, ktoby ją zabrał sobie. Jeden tylko Chrystyan nie sympatyzował z nią nigdy i zawsze mi przepowiadał, na czem się skończy ten stosunek. Raz nawet o to pokłócił się ze mną.

Przeciwnie Sorège zawsze unosił się nad jej pięknością, urokiem i dystynkcyą. Gdyby tak nie zachwycał się w mej obecności, przypuszczałbym że jest w niej zakochanym. Odgrywał rolę jej przyjaciela i powiernika. Chciał żenić się z moją siostrą, lecz odmówiła mu. Rzadko bywał u mej matki, zresztą i ja nie często widywałem ją. Nie lubił Tragomera i pobudzał mnie przeciwko niemu.

W trzecim roku znajomości z Leą położenie moje było tak krytycznem, iż przewidywałem katastrofę. Gdybym nie został wmięszany w tragiczną przygodę, która spowodowała moje nieszczęście, byłbym skończył jeszcze gorzej, gdyż unosił mnie obłęd. Lea zazwyczaj przyjmowała tylko mężczyzn, gdyż towarzystwo kobiet uważała za niebezpieczne dla siebie.

— Jeżeli będę przyjmowała brzydkie i głupie, to nie sprawię tem przyjemności odwiedzającym mnie przyjaciołom; jeżeli zaś ładne i inteligentne, to Jakób może się w której zakochać.

W trzecim jednak roku będąc już pewną mej stałości, uczyniła od tej reguły wyjątek, który stał się powodem mego nieszczęścia. Poznała pewną śpiewaczkę, młodą, szykowną, piękną i polubiła ją niezmiernie. Była to niejaka Janina Baud.

Marenval i Tragomer słuchali dotychczas opowiadania Jakóba, nie przerywając mu ani jednem słowem, lecz usłyszawszy to nazwisko, spojrzeli po sobie zdziwieni. Zjawienie się tej osoby w życiu Jakóba nadawało odkryciu Tragomera znaczenie decydujące. Fréneuse spostrzegłszy ich zdumienie, zapytał:

— Co was tak dziwi?

— Nazwisko Janiny Baud. Nigdy o niej nie mówiłeś.

— Miałem do tego powody ważne. Zrozumiecie je w ciągu dalszego opowiadania.

— Dobrze. Lecz powiedz nam pierwej, jak ona wyglądała. — Słuszna, czy mała, blondynka, brunetka, oczy błękitne, czy ciemne?

— Gdy poznałem ją u Lei Pérelli była wtedy dziewczyną zachwycającą, miała dwadzieścia pięć lat, cerę bardzo białą, włosy czarne i oczy siwe. Stanowiła z Leą parę wspaniałą, gdyż była tego samego wzrostu i tej samej budowy, różniły się tylko pod względem koloru włosów. Jak wiadomo wam, Lea była blondynką.

— Jeszcze jedno pytanie: czy Lea Pérelli farbowała włosy?

— Farbowała. Jej tycyanowski kolor blond nie był naturalnym. W rzeczywistości była szatynką.

— Dobrze. Opowiadaj dalej.

— Janina bardzo często przesiadywała u swej przyjaciółki pod pozorem brania lekcyj wymowy języka włoskiego, młoda śpiewaczka bowiem chciała opuścić operetkę i poświęcić się tylko repertuarowi włoskiemu. Sorège był mocno niezadowolony z tej przyjaźni, szydził z niej i odważał się na różne insynuacye, lecz przypuszczałem, że powoduje nim zazdrość o Janinę Baud.

Piękność Janiny wywarła na mnie wrażenie. Zapragnąłem zyskać jej serce i wkrótce udało mi się to bez trudu. Wtedy postanowiłem opuścić Leę. Janina miała w sobie więcej kobiecości niż wyniosła włoszka, wyznała mi, że kochała mnie oddawna i wiele razy miała ochotę powiedzieć mi to. Dotychczasowe moje uczucie dla Lei zaczęło stygnąć i wreszcie doszło do tego, że zdecydowałem się zaryzykować wszystko, by się od niej uwolnić. Wszelako, dla uskutecznienia tego zamiaru potrzebowałem sumy znacznej, należało bowiem spłacić długi i zapewnić jej środki do życia przynajmniej na rok. O pożyczce nie mogło być już mowy, gdyż byłem zadłużonym po uszy. Pozostawał mi jeden tylko środek: wygrana w karty.

Zebrałem wszystko co posiadałem, sprzedałem wszelkie cenniejsze rzeczy i zaopatrzony w sumę dość pokaźną, w przeciągu dwóch nocy wygrałem sto ośmdziesiąt tysięcy franków. Wystarczało to na uwolnienie się od Lei i na moje wydatki przez czas jakiś. Ale doznawszy takiego powodzenia, zapragnąłem zdobyć więcej. Na trzecią noc udałem się do klubu i rozpocząłem grę z całkowitą wygraną przez dwie doby sumą. Była to chwila dla mnie najważniejsza. Gdybym wówczas mógł się opamiętać i cofnąć się z tem co posiadałem, wszystkie późniejsze nieszczęścia nie byłyby nastąpiły. Znajomość moja z Leą ustałaby z konieczności, stosunek z Janiną mogłem zerwać bardzo łatwo, powróciłbym do rodziny i byłbym ocalonym.

Lecz jakim sposobem mogłem zdobyć się na postanowienie tak rozsądne? Moje dobre instynkty zanikły, czułem w sobie popęd tylko do złego. Zapomniałem o matce i siostrze, zaspokojenie mych kaprysów i poziomych namiętności było jedynem mojem prawem.

Byłem niegodziwym i nikczemnym! Moja stara matka klękała u mych nóg i błagała mnie, bym wrócił do niej, nie opuszczał jej i nie hańbił jej starości. A ja pozostałem głuchym na jej prośby i śmiałem się z jej rozpaczy.

Ach! ileż razy podczas nocy bezsennych, skuty z mymi towarzyszami niedoli i zbrodni, przypominałem sobie owe sceny straszne, w których z bezczelną śmiałością na łzy matki odpowiadałem cynizmem szyderczym i dzikim. Jakże żałowałem zaślepienia, które wydało mnie w ręce moich pochlebców i pasożytów i nie dozwalało słuchać łagodnych próśb dwóch usiłujących ocalić mnie aniołów. Ale tak chciała fatalność!

Na trzecią noc, jak gdyby za karę, że nie umiałem zadowolić się dotychczasową łaską losu, przegrałem wszystko, co posiadałem i nadto dopożyczone jeszcze czterdzieści tysięcy franków.

Znalazłem się w położeniu bez wyjścia. Wszystko, co posiadałem, było w rękach lichwiarzy. Matka zapłaciła już za mnie sumy bardzo znaczne. Pożyczający mi dotychczas przyjaciele, zrażeni mą niesłownością, unikali mnie. Nie było już ratunku. Pozostało mi do wyboru jedno z dwojga: odebrać sobie życie, lub wyjechać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.